ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK VIII. Nr 46/386

LONDYN, 14 LISTOPADA 1954 R.

STANISŁAW GROCHOLSKI

ROCZNICE

W r. 1954, obok zwykłych rocznic narodowych, zbiegło się kilka okazji, znaczących dłuższe etapy historii: 10-lecie lądowania sprzymierzonych w Europie, zwycięstwa z udziałem Polski Walczącej; 10-lecie Powstania Warszawskiego; 40-lecie wybuchu pierwszej wojny światowej, na której wszystkich frontach walczył żołnierz polski.

Mówi się, nie bez racji, że Polacy lubią obchody, rocznice, odsłanianie pomników, wieńce, sztandary; że lubią wyżywać się sentymentalnie na „świętach narodowych", po czym wracają z poczuciem spełnionego obowiązku w „prywatny dzień powszedni", wolni już od troski o sprawę publiczną. Te przesadne upodobania wywołują też przesadne krytyki wobec naszego „kalendarza historycznego". Kto jednak rozumie organiczne zjawisko żywego społeczeństwa i rządzące nim prawa, ten nie będzie odmawiał sensu okazjom, których zadaniem jest umacnianie świadomości zbiorowej, rozpoznawanie prądów życia narodu w nurcie historii, danie możności zastanowienia się nad odpowiedzią na pytanie stale aktualne: czym i po co jesteśmy — dawniej, dziś, jutro.

Krytycy obchodów narodowych mieliby jednak rację, gdyby chwile zadumania nad nauką historii, pojętej dynamicznie, nie były równocześnie próbą bilansu osiągnięć i zaniedbań, analizy sytuacji, powtórzeniem albo nowym sformułowaniem postanowień w świetle zestawienia posłannictwa, które niesie rocznica, z rzeczywistością. Trzeba zastanawiać się nad znaczeniem i wartością historycznych okazji dla kolejnych pokoleń: dożywają wieku czynni świadkowie „wybuchu niepodległości"; do tych, co byli młodzi w r. 1944, dołączają młodzi, dorastający w r. 1954.

—◆—

40 lat temu rozpoczęła się wojna, która przyniosła Polsce niepodległość, ale nie zespoliła świata wolnego i groźba niemiecka odżyła; 10 lat temu rozpoczęło się wyzwalanie kontynentu europejskiego spod okupacji niemieckiej, ale zwycięstwo militarne doprowadziło do klęski politycznej Zachodu i przyniosło Europie i Polsce okupację sowiecką; 10 lat temu bohaterskie szaleństwo warszawskich powstańców dało świadectwo polskiej woli niepodległości, ale „ofiarny stos" oświetlił bezlitośnie pustkę ideową i bezsens polityczny ostatniego okresu „byłej wojny wyzwoleńczej". Kakofonię wspomnień: bohaterstwo ofiar, tragizmu zmarnowanych wysiłków — uwypukla w roku bieżącym bluźniercza rocznica reżymowego 10-lecia „wyzwolenia" Polski przez... Sowiety!

Za zgrzytliwych ech starajmy się wydobyć przestrogi i wskazania.

Złamanie solidarności zwycięskiej koalicji przez izolacjonizm Stanów Zjednoczonych po pierwszej wojnie, spory wśród b. aliantów rozwaliły kulawy gmach Ligi Narodów, wyzwoliły agresję niemiecką. Wspomnijmy jednak, że 40 lat temu pierwsza wojna narodów dała zwycięstwo dzięki zjednoczeniu pod wspólnym naczelnym dowództwem przeciw najazdowi hord germańskich.

W Polsce odrodzonej kłótnie, ambicje personalne, folwarki ideowe opóźniały wykrystalizowanie narodowej i państwowej syntezy programowej, reformę społeczną i scalanie narodu, ale wspomnijmy, że ku tej samej „Wolnej i Niepodległej" choć różnymi drogami szedł żołnierz i bojowiec wszystkich formacji, ksiądz, inteligent, robotnik i chłop, że spotkali się wszyscy w r. 1918, a w 1920 zwyciężyć potrafili pod hasłem „jedności narodowej"!

W r. 1944, gdy wyważano wrota okupowanej Europy i z Zachodu szła wolność, równocześnie ze Wschodu szła nowa niewola; mściły się teherańskie kompromisy, brak jedności wśród sprzymierzonych, sprzeniewierzanie się hasłom „wojny wyzwoleńczej", pogrzebanym w zdradzie jałtańskiej; ale wspomnijmy, że przełamanie „wału atlantyckiego" i „linii Zygfryda" było tryumfem solidarnego wysiłku połowy świata, zjednoczonego dokoła zasad „Karty Atlantyckiej" pod jednym dowództwem, że w bombardowanym Londynie kiełkowały zalążki Zjednoczonej Europy i współpracy narodów Europy Środkowo-Wschodniej.

Powstanie Warszawskie było ofiarnym stosem zdradzonych i opuszczonych; rzucano „na szaniec" straceńczy „kamienie" zbyt drogocenne, ale z płonącej Warszawy, 10 lat temu, wolne radio powstańcze obwieszczało deklarację Rady Jedności Narodowej z 15 sierpnia 1944: w dniu święta Wniebowstąpienia Królowej Korony Polskiej, w dniu zwycięstwa polskiego żołnierza deklaracja głosiła zasady wolności politycznej i sprawiedliwości społecznej zjednoczonego narodu. Deklaracja celów Polski Walczącej, to odpowiedź najwymowniejsza na cyniczne manifestacje 10-lecia sowieckiego „wyzwolenia", akt oskarżenia wobec dorobku niewoli, ucisku i wyzysku, jakim się jedynie szczycić może narzucony Polsce przemocą komunistyczny reżym!

—◆—

Jakiż wątek wydobyć z tych rozpamiętywań rocznicowych? Jakie przestrogi i jakie wskazania przydadzą się przede wszystkim dziś, gdy jesteśmy świadkami na emigracji — z jednej strony sięgania dna „potępieńczych swarów", ale z drugiej strony — poważnych osiągnięć na drodze narodowego pojednania i zadatków na pełne zjednoczenie?

W r. 1954, w którym po siedmiu latach kryzysu nastąpił londyński Akt Zjednoczenia, a Tymczasowa Rada Jedności Narodowej podjęła dzieło Rady Jedności Narodowej w Kraju sprzed lat dziesięciu, najbardziej aktualne posłannictwo rocznicowe to potępienie niezgody, rozbicia, nienawiści i nakaz zgody, jedności działania, solidarności.

—◆—

Jak w analizie historycznej piętnujemy — ku przestrodze — co było niegodziwe lub głupie, ale jako wskazanie bierzemy to, co było wartościowe, tak i wobec rzeczywistości dzisiejszej napiętnujmy autorów niezgody i rozbicia, zdrajców solidarności narodowej i odwróćmy się od nich, poświęcając wysiłki nie na zżeranie się wzajemne, ale na działalność pozytywną, w oparciu o osiągniętą zgodę. Wtedy za aktem zgody i jego pierwszymi wynikami: powstaniem Rady Jedności Narodowej, wyborem Rady Trzech i Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego pójdą czyny i konkretne osiągnięcia pod kontrolą społeczeństwa, mobilizując dobrowolną lojalność i zbiorowe poparcie, na drodze ku zjednoczeniu wszystkich Polaków. Dopiero przecież świadome dołączenie ogółu i odbudowane zaufanie sprawią, że wyjdziemy naprawdę z kryzysu, że zjednoczenie zrodzi polityczną siłę i pozwoli dostosować działanie do zmienionych okoliczności.

—◆—

Co znaczy zjednoczenie? Na pewno nie jest ono czarodziejskim lekarstwem na wszystkie nasze niedomagania i przywary, ani nie zmieni fatalnej sytuacji międzynarodowej. Ale osiągnięcie zgody i powstanie instytucji jedności narodowej oznacza, że — w imię celu, co do którego byliśmy i jesteśmy zgodni — potrafimy się porozumieć w sprawie reform i form systemu, żeby się już o nie ciągle nie kłócić, że — w ramach tego systemu — będziemy, zgodnie z zasadami praworządnej demokracji, podejmowali wspólnie decyzje zasadnicze, wiążące wszystkich. Zjednoczenie nie oznacza ani rezygnacji z różnic ideologicznych, ani ograniczania niezależności sądu czy możności inicjatywy, ale sprawi, że nie będziemy siebie nawzajem zaskakiwać faktami dokonanymi, że decyzje poprzedzi uporządkowana dyskusja, w której także mniejszość będzie mogła bronić swego stanowiska. Zjednoczenie oznacza, że siadać będziemy u siebie przy jednym stole obrad, a — wobec obcych — potrafimy siąść na jednej ławie; że mniej pohopnie będziemy się dzielić na „dobrych" i „złych" Polaków, którzy ze sobą gadać nie chcą.

Ruszą wreszcie z martwego punktu albo zostaną usprawnione nasze wewnętrzne sprawy polskie: Skarb Narodowy, polityka kulturalno-oświatowa, obrona interesów społecznych wychodźstwa, dostosowanie polskich organizacji do długotrwałego działania w „diasporze", polityka w odniesieniu do problemu młodzieży i jej przyszłości narodowej i zawodowej, pozytywne rozwiązanie zagadnienia obcego obywatelstwa itd.

Zjednoczenie oznacza, że gra sił politycznych znalazła swój właściwy teren w „parlamencie" Rady Jedności Narodowej i odciąży organizacje społeczne oraz ich światowe centrale od problemów i nieuniknionych tarć partyjno-politycznych.

—◆—

Nie po tośmy jednak zostali na emigracji, żeby przeżyć. Naród w Kraju też żyje i przeżyje. Nawet nie po tośmy zostali, żeby przetrwać jako wolna społeczność polska, choćby najlepiej zorganizowana wyspa polskości poza zasięgiem okupacji sowieckiej. Naszym głównym zadaniem w wolnym świecie jest walka o prawa i interesy ujarzmionego narodu, walka wśród obcych i razem z sojusznikami.

Musimy być zjednoczeni, żeby nas podzielonych obcy nie rozgrywali, wykorzystując samozwańcze inicjatywy, a dalej, żeby zwartym frontem walczyć o miejsce nasze na jutro w świecie, który jednoczy się coraz oczywiściej pomimo chwilowych zahamowań organicznych procesów.

Wybraliśmy „Pax Americana", bo nie chcemy „Pax Sovietica": starajmy się wpływać na politykę amerykańską, żeby nie porzucała hasła wyzwolenia; walczmy o to, żeby ten przyszły pokój mógł być nazwany „Pax Americano-Europea", w interesie świata, Europy i naszego w niej miejsca.

Europa się zjednoczy, bo inaczej zginie; gdy inni zwątpią w swe siły, wtedy zagrozi hegemonia niemiecka. Jakże w rozbiciu wywalczymy sobie wpływ na integrację europejską? Jak bronić potrafimy granicy na Odrze i Nysie? Marzeniem pozostaną nasze słuszne koncepcje federacji regionalnej narodów Europy Środkowo-Wschodniej w Europie wyzwolonej i zjednoczonej.

Jesteśmy sojusznikami, wielu z nas współobywatelami krajów Zachodu. Z niepokojem i rosnącym rozdrażnieniem patrzymy na egoizm i oportunizm wolnych jeszcze społeczeństw, uciekanie przed decyzją, chowanie głowy w piasek wobec niebezpieczeństwa, uleganie defetystycznym podszeptom neutralistów. Jeżeli sami będziemy skłóceni i rozbici, głos naszej przestrogi nie zaważy wiele. Zjednoczeni i zorganizowani, nierównie mocniej i skuteczniej będziemy mogli ostrzegać i wysuwać żądania w sprawach obrony wolnego świata i w naszych polskich sprawach: postulaty pod adresem krajów osiedlenia co do polskiej oświaty, polskiego duszpasterstwa, swobody działania dla polskich organizacji, prasy, wsparcia naszej kontrakcji przeciwko propagandzie i penetracji komunistycznej.

Zjednoczenie — polityczne i społeczne — jest niezbędne, żeby obrócić wniwecz usiłowania komunistów rozbicia naszego frontu. Czyż garstka sabotażystów jedności narodowej, deklamujących w zaślepieniu o „odpowiedzialności wobec Boga i historii", nie zdaje sobie sprawy z pomocy, jaką dają wrogowi?

A wreszcie, jeżeli wygnanie przedłuży się na lata, tym bardziej potrzebne jest zjednoczenie, żebyśmy nie poszli w rozsypkę, ale razem potrafili znajdować nowe formy wypełniania tych samych obowiązków.

—◆—

Postanowienia niewiele będą warte bez stałej pamięci o konieczności zapewnienia dalszego ciągu akcji w następnym pokoleniu przez młodych.

Młodzież polska rośnie, myśli, jest bardziej gotowa działać niż przypuszczają ci, którzy — narzekając, że się młodzi „nie garną" — nie pamiętają, że trzeba ich do współpracy pociągnąć. Trzeba uzyskać zaufanie młodzieży, zawierzając jej zdrowym instynktom, uwzględniając jej potrzeby realne i sytuację całkowicie odmienną; musimy wskazać sposoby pogodzenia życiowych interesów polskiej młodzieży, która wchodzi w życie wśród obcych, pogodzenia tych interesów z interesem narodowym.

Jeżeli nie potrafimy zapobiec oddalaniu się od polskości następnego pokolenia, które powinno zdobywać warunki maksymalnego awansu społecznego w obcych społeczeństwach, jeżeli nie potrafimy zapobiec odejściu młodzieży od polskiej mowy, kultury, historii, to istotnie stanie przed nami widmo „wymarcia", o którym mówił w pamiętnym kazaniu 11 listopada 1953 roku rektor Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu: „...Zamrą organizacje... a my, starcy posiwiali patrzyć będziemy na nasze chlubne sztandary, pod którymi nikt nie stanie..." — I cóż warte będą rozważania rocznicowe i obchody narodowe, w których młodzi nie zechcą albo nie potrafią wziąć pozytywnego udziału?

Ręka wyciągnięta do młodzieży, polska działalność kulturalno-oświatowa i wychowawcza wśród młodzieży, wciąganie młodych do pracy społecznej i politycznej, przystosowanej do ich możliwości i warunków zewnętrznych, organizowane tak umiejętnie, jak to robić potrafią komuniści, stanowią warunek przetrwania akcji niepodległościowej w okresie za 10-15 lat.

—◆—

Sumując nasze rozważania, nie wstydźmy się powiedzieć publicznie, że cementem prawdziwego zjednoczenia jest praktyka cnoty miłości społecznej, wzajemna życzliwość, w imię której przeciwnicy polityczni potrafią podać sobie ręce i współdziałać, szanując cudze przekonania, ufając intencjom.

Norwid, ten najbardziej autentyczny poeta emigracyjny, a najbardziej „emigranckość" tępiący, ofiara braku życzliwości i solidarności, narzekał: „...żeby choć jedno serce było ze mną, żeby choć ręka jedna..." — Pomagajmy sobie; wierzmy sobie; myślmy i mówmy o sobie życzliwie i wśród nas i o nas wobec obcych; niech stępieją urazy i zawiści między ludźmi, grupami, środowiskami. Czy „polski Londyn", „polski Paryż", inne „prowincje" emigracyjnej Polonii muszą koniecznie na siebie wzajem zezem patrzyć? Zżycie się społeczeństwa jest konieczne, żeby praca nasza była „...coraz miłością ulżona, aż się i trudów trud wreszcie wykona..." Słuchajmy Norwida: „...Wierzę, że Naród trwa, bo cierpi noże, Wiem, że organizm tylko krew lać może. Wierzę, iż główną przeto powinnością Znać ten organizm, krzepić go miłością... Wierzę, że miłość nie wtłacza ideę, Lecz, że ją wciela..."

W odrodzonej Polsce organizm narodu nie był jeszcze dostatecznie zespolony; majaczył rozdział na „narody" dwa: jeden — uprzywilejowany: naród klas posiadających i rządzących, urzędniczy i oficerski, inteligencki i jeszcze szlachecki; drugi — upośledzony: naród świata pracy fizycznej, robotników i chłopów, do oświaty i kultury, do awansu i rządzenia zbyt opornie dopuszczany... Rosnąca troska o sprawiedliwość społeczną likwidowała nierówności, potem wojna i okupacja niemiecka i sowiecka zrównały wszystkich w trudach, bohaterstwie i poświęceniu Polski Walczącej.

Dziś grożą organizmowi narodu niebezpieczeństwa bardzo poważne: w Polsce narzucony reżym komunistyczny nie ustaje w wysiłkach, żeby wykopać przepaść między narodem w Kraju i emigracją; heroicznie pracującemu społeczeństwu, pracującemu naprawdę, bo w odbudowie, uprzemysłowieniu, zagospodarowaniu Ziem Odzyskanych naród znajduje ujście swoich energii, zgodne z polską racją stanu, temu społeczeństwu reżym usiłuje przeciwstawić emigrację, bezpiecznie i wygodnie wegetującą na garnuszku kapitalizmu, egoistycznie niepomną obowiązków wobec Ojczyzny. Oby nigdy i nigdzie nie było źdźbła prawdy w tym szkalowaniu!

Na emigracji agentury reżymu starają się nieustannie o wbicie klina między polskie masy robotnicze i inteligencję, przeciwstawiając „wyzyskiwanemu i pomiatanemu" robotnikowi — klikę „panów i byłych dygnitarzy", tęskniących na obcym żołdzie za powrotem do dawnych wpływów, stanowisk i majątków. Tej dywersji przeciwdziałać będziemy najskuteczniej, budując w duchu solidarności i życzliwości norwidowy „łańcuch społeczny". Wiążmy tym łańcuchem także towarzyszy wygnania z tych narodów, z którymi chcemy po wyzwoleniu organizować współpracę w naszym kącie Europy.

—◆—

Modne jest tu i ówdzie, zwłaszcza w kapliczkach super-intelektualistów i wśród pięknoduchów-kosmopolitów, odmawianie sensu i wartości wszelkim poczynaniom wewnętrzno - polskim, traktowanie jako fikcji wszystkich emigracyjnych instytucji i organizacji. Zapewne, najważniejsze jest to, co zdziałamy dla naszej sprawy w świecie zewnętrznym, gdzie zresztą niektóre polskie poczynania pogłębiają się i rozszerzają. Zapewne, społeczność nasza nie funkcjonuje bez zarzutu; zawodziła organizacja działania, zawodziło nieraz kierownictwo; patrzymy ciągle za nadto wstecz, nie dokonywujemy zawczasu koniecznych przemian, żeby dostosować narzędzia naszej akcji i plany do zmieniającej się rzeczywistości zewnętrznej.

Ale błędem jest niedostrzeganie ogromnych wartości tkwiących w emigracji, jej patriotyzmu, wierności, ofiarności; nie docenia się dostatecznie walki upartej o polską parafię, szkołę, książkę, prasę; zapomina się o roli polskich domów, rodzin; pomniejsza się realny dorobek organizacji społecznych; przeocza się gotowość do akcji, czekającą na zachętę; bagatelizuje się trudno wymierny, ale realny wpływ polityczny, jaki w wolnym świecie wywarły i wywierają setki tysięcy Polaków; ignoracja albo zawiść powodują, że zachłystujący się hyperkrytycyzmem niektórzy koryfeusze naszej opinii publicznej pomijają lub wyśmiewają osiągnięcia wielu pozytywnie działających placówek polskich czy Polaków pracujących przy obcej pomocy na rzecz sprawy polskiej, będącej przecież częścią składową zagrożonej sprawy wolnego świata.

Mamy prawo — bez samochwalstwa — krzepić świadomość zbiorową, włączając w bilanse rocznicowe pozycje dodatnie z polskiego terenu wewnętrznego i potencjalny choćby kapitał, jaki stanowią rzesze emigracyjne, społeczna masowa podstawa akcji niepodległościowej.

—◆—

Prawdy wieczne trwają niezniszczalne. Nieśmiertelne — w sensie ludzkim — trwać mogą żywe społeczności narodowe, pomimo najcięższych warunków, gdy się nie sprzeniewierzają swej osobowości, ale każde pokolenie musi swój wkład dołożyć „... drogi szukając, choć przed wiekami zrobiona..."

Pozytywnie przeżyte rocznice w roku 1954 przynoszą przestrogi i nakazy. Rocznice nasze zapisane są w historii narodu krwią tych, co życie dać musieli, płacąc nim za ciągłość życia zbiorowego, za lepsze jutro, za błędy przeszłe i zaniechania współczesne. Ta krew zobowiązuje. Wierni powinniśmy być pamięci poległych nie tylko na cmentarzach, ale i w życiu. Wiernością zapewniamy trwanie rzeczy wielkiej, wspólnej, własnej, którą jest dla wszystkich Polaków, zawsze i wszędzie, niepodległa w naszych sercach i woli: Rzeczpospolita Polska. Poniesiemy ją w nieznane jutro, poza niedaleką już chrześcijańską rocznicę roku 1966, w nowe tysiąclecie naszych dziejów.

Stanisław Grocholski

STANISŁAW STROŃSKI

NA WIERZCHU KORONY KRZYŻ

Dotychczasowy dorobek moich uwag o błędach orzeczenia Zarządu Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii o krzyżu na koronie w godle państwowym (ŻYCIE nry 361, 370 i 379) i odpowiedzi p. jen. Mariana Kukiela (ŻYCIE nry 376 i 384) jest taki:

1. Jen. Kukiel zapoznaje się powoli z wskazanymi przeze mnie źródłami i pracami o tej sprawie, które należało znać przed wydaniem orzeczenia;

2. Jen. Kukiel wycofuje się z podstawowego twierdzenia orzeczenia, jakoby korona z krzyżem była dopiero sasko - stanisławowska i schyłkowa, wobec powodzi dowodów, że istnieje od początku XVI wieku;

3. Jen. Kukiel wycofuje się z drugiego podstawowego twierdzenia orzeczenia, jakoby korona koronacyjna (Łokietka) była bez krzyża, a wobec jedynych istniejących świadectw, że była z krzyżem, chroni się w dowolne domysły, że go później dodano.

Po tych dwu odwrotach z obu twierdzeń, stanowiących całą podstawę orzeczenia, leży ono jak długie.

Nic tu nie pomogą, dla pokrycia odwrotu, dodatkowe pomysły szczegółowe własnego wyrobu jenerała Kukiela, sprzeczne z wiedzą naukowo ustaloną i przyjętą przez wszystkich i najwybitniejszych uczonych (Kopera, Balzer, Kutrzeba, Brueckner). Takimi próbami dowolnymi, w kłopocie i na prędce, są twierdzenia, jakoby korona stroju pogrzebowego w trumnie lub korona na pieczęciach były właśnie odtworzeniem korony koronacyjnej. Karkołomność tych prób jest zabawna w uwagach o miniaturze pontyfikału Ciołka, z których wynikałoby, że w czasie obrzędu koronacyjnego król zdejmował z głowy koronę koronacyjną i nakładał inną dla przyjęcia hołdu.

Ściśle i dokładnie, w zakłopotanych pomysłach i domysłach odwrotowych p. jen. Kukiela, nie ma ani jednego dowodu rzeczywistego, naukowego, przeciw koronie koronacyjnej z krzyżem w ogóle i koronie z krzyżem w użyciu świeckim od początku XVI w.

Sprawa korony z krzyżem jest więc jasna.

Ciemne natomiast są, niestety, sposoby prowadzenia sporu przez p. jen. Mariana Kukiela.

Na wstępie swych ostatnich uwag p. jen. Kukiel twierdzi, że ja nieprawdziwie przytaczam w cudzysłowie i przypisuję orzeczeniu Zarządu Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii nazywanie korony z krzyżem sasko-stanisławowską i schyłkową, gdy w orzeczeniu tylko powiedziano, że za taką uważali ją twórcy dekretu w r. 1927, usuwając krzyż z korony.

Ja nieprawdziwie przytaczam?

Odpowiadam:

1. Zacząłem w ogóle swe wywody od podania orzeczenia Zarządu Polskiego Towarzystwa Historycznego w W. Br. w całości, a nie poszczególnych jego ustępów czy wyrażeń, tak iż czytelnik miał całość i żadne obecne wykręty nie zmienią tego, iż trzonem orzeczenia było przeciwstawienie koronie bez krzyża Piastów i Jagiellonów korony z krzyżem jako sasko-stanisławowskiej i schyłkowej;

2. W pierwszym zdaniu orzeczenie mówi od siebie, bez źdźbła nawiązania do twórców dekretu z roku 1927, o koronie z krzyżem „jak za Sasów, Stanisława Augusta i później" i pod koniec orzeczenia w zdaniu o zmianie z r. 1927, usuwającej krzyż, wzmianka obronna na rzecz tej zmiany o „skłonności, by sięgnąć raczej do tradycji Piastów i Jagiellonów, nie zaś do czasów schyłkowych Rzeczypospolitej" jest oparta o to naczelne określenie samego orzeczenia od siebie od razu w pierwszym zdaniu;

3 (zabójcze). Nie kto inny niż p. jen. Kukiel w cztery dni po ujawnieniu w „Dzienniku Polskim" 18 marca 1954 r. orzeczenia Zarządu Pol. Tow. Histor. w W. Br. ogłosił 22 marca 1954 list, stwierdzający, że jest to „opinia Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii" (też nieściśle, bo Zarządu, a nie Towarzystwa) i że ta opinia:

„...tłumaczy, że umieszczenie krzyża na koronie wymagałoby zmiany kształtu tej korony i powrotu od korony Piastów i Jagiellonów do korony zamkniętej, stanisławowskiej. — Z poważaniem — M. Kukiel."

Więc tak określają koronę z krzyżem nie... twórcy dekretu z roku 1927, lecz... orzeczenie Zarządu P.T.H. w W. Br. i... M. Kukiel w r. 1954.

Dopiero teraz, w kłopotach, usiłuje p jen. Kukiel wyprzeć się jesienią 1954 tego, co sam powiedział wiosną 1954.

Ale jak p. jen. Kukiel w takim stanie rzeczy może twierdzić, że to ja coś przeinaczam, że przytaczam nieściśle w cudzysłowie, że przypisuję orzeczeniu z r. 1954 zdania twórców dekretu z roku 1927?

P. jen. Kukiel posuwa się jednak jeszcze dalej w swym rozpędzie odwrotowym, by osłonić siebie kosztem kogoś innego.

„Sposób cytowania — pisze — zastosowany przez prof. Strońskiego ma za sobą precedensy, nawet głośne, jak spreparowanie przez Bismarcka „depeszy emskiej" w 1870. Natomiast nie wydaje mi się, by ten proceder był istotnie „skutecznym sporów sposobem". A już najmniej sporów naukowych, gdy nie o to idzie, by „moje było na wierzchu", ale „ut lux veritatis clarius effulgeat".

Sposób cytowania, ...proceder, ...spreparowanie, ...depesza emska, czyli najgłośniejsze, nowoczesne sfałszowanie słów i myśli?

Ostrzej nie można i chyba p. jen. Kukiel zdaje sobie sprawę, co to znaczy jako zarzut przeciw komuś piszącemu i zajmującemu się nauką.

Odpowiadam:

Gdybym przypisał orzeczeniu Zarządu P. T. H. w W. Br. z r. 1954 zdania i określenia nie jego, lecz czyjeś z r. 1927, byłoby to fałszerstwo, ale wobec tego, że są to zdania i określenia orzeczenia Zarządu P. T. H. w W. Br. (jak stwierdził z poważaniem M. Kukiel), wytoczenie przeciw mnie tego kłamliwego zarzutu jest niegodne i niegodziwe.

Nie: moje na wierzchu — Panie Jenerale — lecz: na wierzchu korony krzyż.

Stanisław Stroński

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Problemy moralne widowisk. W Rzymie w Domus Pacis odbył się II narodowy kurs dla duchowieństwa w sprawie moralnych problemów widowisk. Ponad 100 księży, delegatów komisji diecezjalnych dla widowisk i Katolickiego Stowarzyszenia Przemysłu Kinowego, brało udział w obradach. Referaty i dyskusje omawiały następujące problemy: kino parafialne jako czynnik pomocniczy działalności duszpasterskiej, moralna klasyfikacja filmów, problemy produkcji i wynajmu filmów, działalność omawiającego i klasyfikującego filmy z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej włoskiego Katolickiego Centrum Kinematograficznego, parafialne kino i parafialny teatr, problemy moralne dotyczące filmu i telewizji i inne.

Na kurs przybył prałat Montini, prosekretarz stanu Jego Świątobliwości, który pragnął osobiście wyrazić uczestnikom życzenia i zachętę Papieża. W przemówieniu swoim prałat Montini stwierdził, że problemy widowisk, a w szczególności kina, radia i telewizji są przedmiotem szczególnie czułej troskliwości Kościoła katolickiego i jego Hierarchii. Podkreślił również, że celem akcji duchowieństwa i katolików świeckich w zakresie kinematografii jest przede wszystkim dobro dusz ludzkich.

Stan misyj katolickich. W związku z niedzielą misyjną, która przypada zawsze w przedostatnią niedzielę października, podano w „Osservatore Romano" cyfry obrazujące obecny stan misyj Kościoła katolickiego.

Na misjach pracuje: 24.974 księży, 8.851 pomocników, 57.290 sióstr, 90.825 katechistów. Szpitali jest 1.003 z 420 lekarzami, 4.455 pielęgniarzami, 62.625 łóżkami; poliklinik, gdzie wydaje się za darmo lekarstwa ubogim, 2.841; porad lekarskich udzielono 58.528.135; zakładów dla trędowatych 222 z 45.493 trędowatymi; zakładów dla sierot 1.434 z 82.996 sierotami; przytułków 326 z 10.578 korzystającymi z opieki; szkół elementarnych 42.939 z 2.588.956 chłopcami i 1.434.236 dziewczętami; szkół średnich 3.891 z 343,720 uczniami i 274.297 uczennicami; szkół wyższych 1.039 z 169.771 uczniami i 139.142 uczennicami; szkół zawodowych 1.047 z 24.227 uczniami i 27.351 uczennicami; innych szkół 405 z 18.951 uczniami i 13.392 uczennicami.

Jeśli chodzi o zestawienie procentowe misjonarzy z różnych krajów świata, to podana statystyka ustala co następuje: na misjach pracuje co trzeci kapłan z Irlandii, łącznie 2.001 Irlandczyków, co czwarty z Holandii — 2.229 Holendrów, co siódmy z Belgii — 2.289 Belgów, co trzynasty ze Szwajcarii — 362 Szwajcarów, co piętnasty z Anglii — 543 Anglików, co piętnasty z Francji — 3.395 Francuzów, co szesnasty z Kanady — 709 Kanadyjczyków, co trzydziesty pierwszy z Niemiec — 845 Niemców, co trzydziesty dziewiąty z Hiszpanii — 779 Hiszpanów, co czterdziesty szósty z Włoch — 1.332 Włochów, co pięćdziesiąty trzeci ze St. Zjedn. — 829 Amerykanów.

Towarzystwo Goerresa. 24 stycznia 1876 roku powstało w Koblencji Towarzystwo Goerresa (Goerresgesellschaft), które postawiło sobie, według słów założycieli, za cel wykazanie, że „nie tylko nie ma sprzeczności między nauką Kościoła i wynikami wiedzy, lecz, wprost przeciwnie, wiedza i wiara mogą wzajemnie pomagać sobie i uzupełniać się". Początkowo istniały cztery sekcje towarzystwa: filozofia, historia (łącznie z historią sztuki i literatury), nauki społeczne, nauki przyrodnicze; z rozwojem towarzystwa ilość sekcyj wzrosła. Dziś istnieją sekcje: filozofii, historii, psychologii i psychoterapii, nauk ekonomicznych i społecznych, historii sztuki (z historią literatury), nauk przyrodniczych, wiedzy o starożytności, wiedzy o chrześcijańskim Wschodzie.

Towarzystwo Goerresa, nazwane tak od wybitnego nadreńskiego Niemca, który żył w latach 1776 — 1848, ściągnęło na siebie nienawiść hitlerowców i zostało zlikwidowane w roku 1940. W osiem lat potem towarzystwo odrodziło się ku chlubie niemieckiego katolicyzmu. Tegoroczne zebranie było stwierdzeniem owocności współpracy wiedzy z wiarą. Akwizgran, gdzie odbyło się zebranie, jako miasto Karola Wielkiego, nadawało się na manifestację duchowej solidarności Zachodu, co zaznaczyło się przez obecność przedstawicieli Francji, Hiszpanii i Holandii.

Korespondencyjny kurs religii. Paryska dyrekcja nauczania religii organizuje cztery kursy: moralności i uduchowienia, historii Kościoła, liturgii, pedagogii katechistycznej. Każdy z kursów odbywa się raz w tygodniu. Z pierwszych trzech kursów można korzystać także korespondencyjnie. Adres: Direction Parisienne de l'Enseignement Religieux, 19 rue de Varenne, Paris VIIe.

Uczczenie kardynała Wyszyńskiego. Wychodzący w Watykanie ilustrowany miesięcznik „Ecclesia" w numerze na październik zamieścił na stronie tytułowej portret kardynała Wyszyńskiego. W numerze tym znajdują się m.in.: życiorys czcigodnej sługi Bożej Assunta Pallotta, które beatyfikacja odbyła się 7 listopada i artykuł poświęcony nowemu świętu Matki Boskiej, wykazujący na dokumentach z różnych wieków Kościoła w liturgii i sztuce nieprzerwaną wiarę w królewską godność Maryi

DONIOSŁE PRZEMÓWIENIE PAPIEŻA

WOJNA I POKÓJ

W przemówieniu do uczestników VIII zebrania Światowego Stowarzyszenia Medycznego z dnia 30 września br., o którym pisaliśmy w kronice „Ze świata katolickiego" w nrze 44/384 ŻYCIA z 31 października br., Papież poruszył problem wojny nowoczesnej, zwłaszcza wojny A.B.C. (atomowej, biologicznej i chemicznej), powołując się na przemówienia swoje: z 3 października 1953 do uczestników VI Międzynarodowego Kongresu Prawa Karnego i z 19 października 1953 do członków XVI Międzynarodowego Kongresu Medycyny Wojskowej. Podajemy w tłumaczeniu zarówno tekst przemówienia z 30 września 1954, jak i teksty z powołanych przemówień.

◆

Jest oczywiste, że lekarz odgrywa w czasie wojny rolę i to rolę uprzywilejowaną. W żadnej innej chwili nie ma on do opieki i leczenia tak wielu żołnierzy i osób cywilnych, swoich i nieprzyjaciół. Trzeba lekarzowi zostawić bez zastrzeżeń prawo naturalne wkraczania tam, gdzie jego pomoc jest wymagana, i to prawo zagwarantować mu przez konwencje międzynarodowe. Byłoby sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem i z głosem serca odmówić nieprzyjacielowi pomocy lekarskiej i pozwolić mu ginąć.

Czy lekarz ma także spełniać rolę w przygotowywaniu, ulepszaniu i zwiększaniu środków wojny nowoczesnej, w szczególności środków wojny A.B.C.? Nie można odpowiedzieć na to zagadnienie, zanim nie rozwiąże się, przede wszystkim, tego drugiego: czy „wojna totalna" nowoczesna, w szczególności wojna A.B.C., jest dozwolona w zasadzie? Nie może ulegać żadnej wątpliwości, szczególnie z powodu okropności i olbrzymich cierpień powodowanych przez wojnę nowoczesną, że rozpętanie jej bez słusznego powodu (to znaczy, o ile nie jest ona narzucona przez niesprawiedliwość oczywistą i nadzwyczajnie ciężką, w żadnym razie nie dającą się uniknąć), stanowi „przestępstwo" zasługujące na najbardziej surowe sankcje narodowe i międzynarodowe. Nie można nawet postanowić zasadniczo zagadnienia godziwości wojny atomowej, chemicznej i bakteriologicznej, chyba tylko w tym wypadku, gdy się ją uzna za niezbędną w celu własnej obrony w warunkach wymienionych. Nawet wówczas jednak trzeba poczynić wysiłki w kierunku użycia wszystkich sposobów, by jej uniknąć przy pomocy porozumień międzynarodowych lub w wypadku uciekania się do niej postawić granice dość wyraźne i ścisłe, ażeby jej skutki zostały ograniczone do dokładnie ustalonych wymagań obrony. Gdy jednakże użycie tego środka pociąga za sobą taki zakres zła, że wymyka się ono całkowicie spod kontroli człowieka, posłużenie się nim winno być odrzucone jako niemoralne. Tu nie chodziłoby już o „obronę" przeciw niesprawiedliwości i o „ochronę" konieczną rzeczy posiadanych prawowicie, lecz o zwykłe i całkowite unicestwienie wszelkiego życia ludzkiego w zasięgu działania. Nie jest to dozwolone pod żadnym pozorem.

Powróćmy do lekarza. Jeżeli nigdy, w ramach wskazanych granic, wojny nowoczesnej (A.B.C.) nie da się usprawiedliwić i nie usprawiedliwia się jej faktycznie, w takim razie można postawić zagadnienie moralnej współpracy dozwolonej lekarzowi. Lecz Panowie będziecie zgodni z Nami: lepiej, by lekarz nie zajmował się pracą tego rodzaju; jest ona w zbytnim kontraście z jego głównym obowiązkiem: niesienia pomocy i leczenia, nie czynienia krzywdy i nie zabijania.

To Panom umożliwi zrozumienie sensu i uznanie słuszności Naszych poprzednich wyjaśnień: tego, co powiedzieliśmy o potępieniu wojny w ogóle i o stanowisku i roli lekarza w czasie wojny.(1) i (2)

Z PRZEMÓWIENIA Z 3 PAŹDZIERNIKA 1953

(1) Na pierwszym miejscu znajduje się zbrodnia wojny nowoczesnej, której nie wymaga konieczność bezwarunkowa obrony własnej i która pociąga za sobą — możemy to powiedzieć bez wahania — ruiny, cierpienia i okropności nie dające się wyobrazić. Wspólnota narodów powinna uznać za zbrodniarzy bez sumienia tych, co dla zrealizowania swych ambitnych planów nie obawiają się rozpętać wojny totalnej. Dlatego to, jeśli narody pragną ochronić swe istnienie i swe dobra najdroższe i jeżeli nie chcą pozwolić na swobodę działania międzynarodowym zbrodniarzom, nie pozostaje im nic innego, jak przygotowywać się na ten dzień, gdy będą musiały się bronić. Tego prawa trwania na stanowisku obronnym nie można odmówić, nawet dzisiaj, żadnemu państwu. To nie zmienia zresztą absolutnie w niczym faktu, że wojnę niesprawiedliwą należy umieścić w pierwszym rzędzie przestępstw najcięższych, które międzynarodowe prawo karne stawia pod pręgierz, karze najcięższymi karami i której sprawcy w każdym wypadku są winni i podlegają przewidzianej karze.

Z PRZEMÓWIENIA Z 19 PAŹDZIERNIKA 1953

(2) Ten punkt jest decydujący dla stanowiska lekarza wobec wojny w ogóle, a nowoczesnej wojny w szczególności. Lekarz jest przeciwnikiem wojny i promotorem pokoju. Jest on gotów zarówno leczyć rany wojenne już zadane, jak też zabiega, w miarę możliwości, o to, by ich uniknąć.

Wzajemna dobra wola pozwala zawsze uniknąć wojny jako ostatecznego środka załatwiania zatargów między państwami. Oto przed kilku dniami wyraziliśmy życzenie, ażeby na platformie międzynarodowej karano każdą wojnę, która nie jest wymogiem absolutnej konieczności obrony własnej przeciw niesprawiedliwości bardzo ciężkiej, dotyczącej społeczności, gdy nie można jej udaremnić innymi środkami, a jednak trzeba to uczynić pod rygorem dania w przeciwnym razie upustu w stosunkach międzynarodowych brutalnemu gwałtowi i brakowi sumienia. Nie wystarcza więc konieczność obrony przed jakąkolwiek niesprawiedliwością, by uciec się do gwałtownej metody wojny. Gdy szkody wywołane przez nią nie dadzą się porównać ze szkodami „tolerowanej niesprawiedliwości", można stanąć wobec obowiązku „ulegania niesprawiedliwości".

To, cośmy wyjaśnili, stosuje się przede wszystkim do wojny A.B.C., atomowej, biologicznej i chemicznej. Sprawa poznania, czy taka wojna może stać się po prostu konieczna dla własnej obrony przeciw wojnie A.B.C., daje Nam podstawę, byśmy to zagadnienie tutaj postawili. Odpowiedź wywodzi się z tych samych zasad, które są decydujące dzisiaj, by dopuścić wojnę w ogóle. W każdym razie, inne przede wszystkim nasuwa się pytanie: czy nie jest rzeczą możliwą przez układy międzynarodowe zabronić i odrzucić skutecznie wojny A.B.C.?

Po okropnościach dwóch konfliktów światowych nie potrzebujemy przypominać, że wszelką apoteozę wojny należy potępić jako zboczenie umysłu i serca. Zapewne, siła ducha i męstwo aż do oddania życia, gdy obowiązek tego wymaga, są wielkimi cnotami; lecz chęć wywołania wojny, ponieważ jest ona szkołą wielkich cnót i sposobnością ich praktykowania, winna być uznana za zbrodnię i głupotę.

To, co powiedzieliśmy, wskazuje kierunek, gdzie znajdzie się odpowiedź na to drugie pytanie: czy lekarz może swoją wiedzę i swoją działalność oddać na służbę wojny A.B.C.? Przy „niesprawiedliwości" nie można nigdy obstawać, nawet w służbie własnego kraju; a ponieważ ten typ wojny stanowi niesprawiedliwość, lekarz nie może w tym brać udziału.

Tłum. W. Jel.

POLACY W KONGRESIE MARIOLOGICZNYM

Duch Polski katolickiej panował przez dwa dni w auli Uniwersytetu Laterańskiego. Orzeł nad drzwiami wejściowymi jak gdyby podtrzymywany przez „M" — niebieski znak Maryi, wpleciony w złotą kotwicę — wskazywał rodakom drogę do sali. A z katedry padały słowa, które słuchacze chłonęli jako źródło życia.

Z nabrzmiałego erudycją odczytu ojca Kucharskiego T.J. dowiedzieliśmy się, iż teologowie polscy dysputowali już w XIV wieku o Niepokalanym Poczęciu, a biskup Jan Korabita w 1390 roku wprowadził święto Matki Bożej Niepokalanej w dniu 8 grudnia. Dalej przez wieki aż do czasów obecnych wzmacnia się i utrwala cześć Niepokalanej przez pieśń religijną, poezję, sztuki plastyczne.

Ojciec Szczurecki O.P. omówił stosunek dominikanów polskich do zagadnienia Niepokalanego Poczęcia N. M. P.

Ks. dr Wolniak biorąc za podstawę naukę Justyna Miechowity, dominikanina w XVII wieku rozważył problem Wniebowzięcia N. M. P., konkludując, iż stanowi ono część integralną wiary świętej i prawdę zgodną z nauką Kościoła.

Ks. dr Świder omówił „Godzinki o Niepokalanym Poczęciu", to nabożeństwo, które powstało w XV wieku we Włoszech, a tak głęboko się zakorzeniło w Polsce i rozpowszechniło już od XVI wieku. Jest ono też dziś nadzwyczaj gorące, co stwierdził w komentarzu do prelekcji Ks. Arcybiskup Gawlina, wspominając własną młodość spędzoną nad brzegami Odry oraz drogę krzyżową żołnierza-tułacza z Tobruku, Normandii, obozów, tundr i stepów Rosji, po Monte Cassino, Bolonię.

Ks. J. Jarzębowski, marianin, wprowadził słuchaczy na wyżyny poezji dziewiętnastowiecznej, omawiając twórczość maryjną Norwida, doskonale opracowaną i pięknie przez prelegenta w przykładach cytowaną.

Ojciec gen. Mroczek, marianin, przedstawił historię zgromadzeń polskich, których większość przypada na wiek XIX, wiek niewoli, gdy kongregacje te były ostoją i podtrzymaniem w dużej mierze życia religijnego i narodowego. Polsko-maryjnych zgromadzeń jest 52,77%, gdy na całym świecie stosunek maryjnych kongregacji do innych wyraża się cyfrą 36,5%.

Ojciec A. Blasucci O.F.M.Conv. mówił o „Milicji Niepokalanej", o ojcu Kolbe, a o. F. Słomiński O.F.M.Conv. uzupełnił odczyt historią Niepokalanowa.

Akcentem końcowym prelekcji był powrót do Cudownego Obrazu na Jasnej Górze: słowami paulina skreślona historia Obrazu, dzieje kultu i czci świętego miejsca. Przed oczami słuchaczy przesunął się orszak pielgrzymi królów, prezydentów, wodzów różnych epok, wszystkich stanów całej Polski, którzy u stóp Niepokalanej szukali sił i błogosławieństwa na życie i czyn zgodny z wolą Bożą.

Treść wszystkich prelekcji ożywiał i łączył w jedną całość, będąc jakby echem odczuć słuchaczy i odczucia te rozniecając, J. E. Ks. Arc. Gawlina.

W motywach dekoracyjnych sali (roboty ks. Kęsika) przeplatał się znak niebieski Maryi, kotwicy złotej a dalej purpury majestatu Rzeczypospolitej i śnieżnej białości Orła.

MADONNA W SZTUCE POLSKIEJ

Kult Maryi tak rozpowszechniony w Polsce, znalazł jeszcze jeden wyraz w niedawno otwartej wystawie w salach Papieskiego Kolegium Polskiego w Rzymie pod tytułem „Madonna w sztuce polskiej". Eksponatów zebrano ponad 150, prace z górą ponad 60 artystów, od baroku, poprzez neoklasycyzm do sztuki nowoczesnej; obraz olejny, witraż, grafika, tempera, rzeźba, płaskorzeźba, ceramika, tkaniny, zdobnictwo książek, drobne przedmioty kultu. Eksponaty zebrano we Włoszech, przywieziono z Francji, Anglii, Szwajcarii, Stanów Zjednoczonych, Kanady. Dzięki niezmordowanej pracy ks. Langmana powstał w warunkach emigracyjnych ten imponujący pokaz sztuki maryjnej.

Wystawa zajmuje 2 duże aule i 3 sale. Kompozycje Pawlikowskiej dopełniają się ze stylem ludowym Stryjeńskiej, pełne rozmachu tempery Januszewskiego sąsiadują z dostojnymi akcentami Bunscha. Kosmowski w poszczególnych fazach swej ewolucji artystycznej, Mazur o gamie naśladownictwa stylów, wypowiadający się szczerze w hieratyczności bizantyjskiej. Prace Głowackiego, de Regibus-Szulczewskiej, Hablińskiej, Wałacha, Ordyńskiej, Sawickiego, Bonieckiej, Krudowskiego, Goryńskiej, Dobronicza, Bohdanowiczówny, aż po abstrakcjonizm Kaziela. Rzeźby w marmurze, brązy na postumentach, ceramiki w formie statuetek i kropielnic, grafika Wróblewskiej — kapliczka z giętego papieru T. Kęsika.

Wypowiedzi to głównie artystów czasów dzisiejszych, niespokojnie szukających formy dla misteriów Matki Bożej, w postaci dla nowoczesnego człowieka zrozumiałej.

Ale jako motyw zasadniczy króluje wystawie, w obramowaniu drogocennych tkanin, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej — wierna kopia oryginału z Jasnej Góry, prosta, bez ozdób i koron. Mniejsza jest drogocenna kopia obrazu z Ostrej Bramy, w sukience srebrnej z koralami na szyi.

Wzruszającym wyrazem czci ku Najświętszej Panience jest umieszczona w gablotce łyżka więźnia z obozu w Rosji z wyrytym gwoździem wizerunkiem Ostrobramskiej. W wielkiej auli, której patronuje barokowy obraz Matki Boskiej Kozielskiej, umieszczono pod szkłem w wieńcu laurowym rękopis Adama Mickiewicza — wstęp do „Pana Tadeusza":

Panno święta, co Jasnej bronisz
Częstochowy
I w Ostrej świecisz bramie...

Tak nas powrócisz cudem
na Ojczyzny łono...

Wystawa „Madonna w sztuce polskiej" będzie otwarta w Kolegium Polskim przez miesiąc. Otwarcia jej dokonał w dniu 23 października Ks. Arcybiskup J. Gawlina wraz z ambasadorem K. Papée.

Wieloletnia praca przygotowawcza ks. Langmana, przy usilnej współpracy art. mal. Głowackiego i ofiarnej pomocy alumnów kolegium, dały wspaniałe wyniki.

Zofia B. Jelska

KONGRES MARYJNY W LIBANIE

Kult Matki Boskiej należy w Libanie do najdawniejszych tradycji, podobnie jak w Polsce. Obok Palestyny jest zresztą Liban jednym z krajów najbardziej związanych z postacią Matki-Dziewicy. Tutaj ma Ona niejako przedłużenie Swej ojczyzny i stąd niemalże patrzeć można na cichą Galileę, gdzie się urodziła.

Rok Maryjny dał całej ludności chrześcijańskiej Libanu a w szczególności katolikom libańskim, stanowiącym największe skupienie katolickie na Bl. Wschodzie, doskonałą okazję do manifestacji uczuć wobec Najśw. Maryi Panny. Tak jak cały świat katolicki i w ogóle chrześcijański został poruszony tegorocznymi olbrzymimi uroczystościami gu czci Maryi, tak też i mały Liban dokonał aktu wiary i to w sposób imponujący.

Pomiędzy 20 — 24 października br. rozegrały się poszczególne fazy tej największej manifestacji religijnej, jaka miała miejsce w nowoczesnej historii Libanu. W uroczym piniowym parku, na peryferiach Bejrutu stworzono miasto maryjne i tam, przez cztery dni, odbywały się w ramach Kongresu Maryjnego nieprzerwane nabożeństwa, adoracje i misteria maryjne przy olbrzymim udziale ludności ze wszystkich części Libanu i Syrii. Ojciec św. wydelegował na uroczystości jako swego legata J. E. Roncalli, patriarchę Wenecji, co przy obecności w Bejrucie dwu kardynałów stale tu rezydujących, a to kardynała Agaganiana, patriarchy ormiańsko-katolickiego, i kard. Tappouni, patriarchy syryjsko-katolickiego, oraz kilkudziesięciu patriarchów, arcybiskupów, biskupów i opatów nadało uroczystości charakter szczególnie imponujący i wzniosły.

W programie przewidziano jeden dzień poświęcony Palestynie i miejscom świętym, drugi pokojowi i młodzieży, trzeci robotnikom i chorym, wreszcie czwarty triumfowi Najśw. Maryi Panny.

Już od maja 1954 wedrowała po terenie Libanu noszona na barkach libańskich katolików, wyrzeźbiona z drzewa cedrowego, figura młodocianej Maryi Panny, piękne dzieło tutejszego rzeźbiarza, Józefa Hayeka. Przyniesiona została ona do Bejrutu o świcie 21 października i ustawiona przy ołtarzu w Mieście Maryjnym. Na zakończenie uroczystości prezydent Libanu ufundował złotą koronę, którą Kardynał Roncalli włożył na głowę posągu N. M. Panny w obecności najwyższych władz Libanu, korpusu dyplomatycznego i olbrzymich rzesz wiernych. Odbyło się to wieczorem przy świetle tysięcy pochodni i reflektorów, przy biciu w dzwony, a równocześnie w nastroju pełnym najczystszego mistycyzmu. Najśw. Maryja Panna obwołana została królową Libanu. Po uroczystościach statua na ramionach wiernych zaniesiona została do miasteczka Harissa, znajdującego się w górach, na północ od Bejrutu, gdzie umieszczono ją w kaplicy poświęconej Notre Dame du Liban. W procesji towarzyszącej niesionemu posągowi wzięło udział ponad 100 tys. osob, co stanowiło niemal jedną piątą wszystkich katolików Libanu.

Równolegle z Kongresem zorganizowano wystawę maryjną, na której pokazano dokumenty, obrazy, posągi i fotografie ilustrujące rolę N. M. Panny w Starym i Nowym Testamencie, w dogmatyce, w Koranie, w Kościele zachodnim, w obrządkach wschodnich, wreszcie w życiu Libanu. Na wystawie nie brakło eksponatów dotyczących kultu maryjnego w Polsce. Niezależnie od tego staraniem Poselstwa R.P. w Libanie została wydana piękna broszura, opatrzona wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, p.t. „Le Culte de Ste Vierge en Pologne" napisana przez ks. dr. Kamila Kantaka, dziekana Polaków przebywających w Libanie, którą rozprowadzono wśród uczestników Kongresu.

Uroczystości libańskie doskonale zorganizowane włączyły się harmonijnie w manifestację całego świata chrześcijańskiego, poświęconą N. M. Pannie. Bardzo żywym echem w sercach polskich odezwać się powinny liczne akcenty poświęcone Polsce w przemówieniach i modlitwach wygłaszanych w czasie Kongresu Maryjnego w Libanie.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

NOWY LAUREAT NOBLA. Nagrodę literacką Nobla na rok 1954 otrzymał powieściopisarz amerykański Ernest Hemingway. Jego „kontrkandydatem" był pisarz islandzki Hallrod Kilian Laxnes, który niedawno zerwał z komunizmem. Większość członków szwedzkiej akademii literatury, która co roku wybiera nowego laureata, wypowiedziała się po dyskusji za Hemigwayem.

Hemingway pochodzi z „Midwestu". Urodził się w r. 1898 w Oak Park, niedaleko Chicago, liczy więc obecnie 56 lat. Obrał początkowo zawód dziennikarski i był korespondentem wojennym na froncie zachodnim podczas pierwszej wojny światowej. W hiszpańskiej wojnie domowej brał udział po stronie republikańskiej jako kierownik ambulansow wojskowych. Dużo fantazji i odwagi wykazał w czasie ostatniej wojny. Czynny był we francuskiej „resistance" i wraz z oddziałami tego ruchu wkroczył do oczyszczonego z Niemców Paryża.

Książki jego osnute są w dużej mierze na jego własnych przeżyciach wojennych. Znalazła w nich wyraz także pasja myśliwska Hemingwaya, której w roku ubiegłym omal nie przypłacił życiem; jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności wyszedł cało z dwóch kolejnych katastrof lotniczych, kiedy zbierał materiały do nowej książki o polowaniach w Afryce.

Język pisarski Hemingwaya — jak zgodnie stwierdzają krytycy — wiele zawdzięcza gwarze doliny Mississipi. Za najwybitniejsze jego powieści uchodzą: „A Farewell to Arms", „For Whom the Bell Tolls", „To Have and Have Not".

Nagroda literacka Nobla wynosi równowartość £ 12.500. Wręcza ją laureatowi król szwedzki, łącznie ze złotym medalem.

WSPOMNIENIA EGZYSTENCJALISTÓW. W najbliższym czasie ma się ukazać spod prasy nowa książka pani Simone de Beauvoir, opisująca przeżycia intelektualne grupy Sartre'a, w której p. de Beauvoir sama odgrywa jedną z głównych ról. Książka obejmuje okres ostatnich dziesięciu do dwunastu lat.

Równocześnie — jak się dowiadujemy z prasy — sam Sartre pisze powieść, która scharakteryzować ma współczesne mu pokolenie intelektualne i jego reakcje na ewolucję naszego stulecia. Sartre, który przebywa w Perugii, udzielił wywiadu współpracownikowi dziennika włoskiego „Paese Sera". Wywiad pełen był akcentów politycznych w wiadomym duchu.

Pacyfizm obecny — mówił Sartre — jest zupełnie różny od pacyfizmu, który pojawił się po pierwszej wojnie światowej. „Jest rzeczą absurdalną potępiać wojnę w sposób abstrakcyjny. Natomiast jest naszym obowiązkiem przeciwstawiać się tej wojnie, to jest każdej sytuacji konkretnej, zdolnej doprowadzić do wojny".

Była to wyraźna aluzja do akcji komunistycznych „partyzantów pokoju".

„Literatura i polityka — mówił dalej Sartre — są ściśle ze sobą związane. Stanowisko obojętności wobec zagadnień politycznych, oddzielania się (détachement), estetyzmu jest prawdziwym absurdem."

KSIĄŻKA W HISZPANII. W dziedzinie literackiej — stwierdza „Figaro Littéraire" — Francja produkuje obecnie dwa razy tyle książek rocznie, co Hiszpania (5.664 wobec 2.779 w roku 1953). Jednak literatura i czytelnictwo zajmują w życiu społeczeństwa hiszpańskiego miejsce wybitne, a produkcja książek rośnie w miarę kurczenia się analfabetyzmu.

Wśród książek hiszpańskich wydanych w r. ub. były 283 zbiory poezji. Pomiędzy przekładami pierwsze miejsce zajmowały tłumaczenia z angielskiego (podobnie było przed ostatnią wojną w Polsce), drugie — z francuskiego, trzecie — z niemieckiego. Bardzo popularny jest „Don Camillo".

W roku bieżącym odbyły się wystawy książki francuskiej w Madrycie i Barcelonie, obecnie zaś w dniach 3 do 10 listopada otwarta jest wystawa książki hiszpańskiej w Cercle de la Librairie w Paryżu.

◆

WYSTAWA W SCIENCE MUSEUM

W londyńskim Muzeum Wiedzy odbywa się wystawa „Historical Astronomical Books", gdzie możemy zobaczyć szereg najsławniejszych książek o zagadnieniach astronomicznych, takich autorów jak: Kepler, Tycho Brahe, Galileusz, Newton, Halley i inni. Znajduje się tu również dzieło Kopernika: „De revolutionibus orbium coelestium", wydane w Bazylei w r. 1566, które było drugim z kolei (pierwsze ukazało się w r. 1540).

Na ścianie sali wystawowej wisi ilustracja z dzieła Longomontanusa „Astronomia Danica" z r. 1640, z przedstawieniem graficznym kopernikowskiego systemu wszechświata.

Stanisław z Lubieńca Lubieniecki reprezentowany jest 2-tomowym dziełem pt. „Theatrum cometicum", drukowanym w Lejdzie w r. 1681 (wydanie 1 pochodzi z r. 1667). Książka ta obejmuje obserwacje, z różnych części Europy, przelotu komety w 1664 r. i jest bogato ilustrowana. Zawiera też historię wszystkich komet obserwowanych przed tą datą.

W dziele znajduje się całostronicowy portret autora, kiedy miał on lat 41.

Na ścianach wystawy umieszczono 5 rysunków z tego dzieła, przedstawiających komety z różnych czasów.

DYSKUSJE

O POWSTANIU WARSZAWSKIM

Szanowny Panie Redaktorze!

Przypuszczam, że dzielę uczucia wielu Czytelników, jeśli wyrażę Panu słowa uznania za godną podziwu bezstronność, jaką okazał Pan udzielając na tej samej stronie miejsca przeciwstawnym poglądom na kwestię odpowiedzialności za wybuch Powstania Warszawskiego, reprezentowanym przez artykuły ks. Kamila Kantaka: **W dziesiątą rocznicę** i Jana Bielatowicza: **Powstanie narodu** (ŻYCIE nr 40/380 z 3. 10. 54). Wydaje mi się jednak, że jeśli rzecz p. Bielatowicza stanowi odpowiedź na tezy wysunięte przez ks. Kantaka, to nie całkiem przekonywującą i trudno mi przyjąć niektóre twierdzenia.

Nie mogę zgodzić się z poglądem, że ktokolwiek „podnosi oskarżenie z powodu Powstania, stawia pod sąd wszystkich jego uczestników", bo równałoby się to wyznawaniu hitlerowskiej zasady „odpowiedzialności zbiorowej". Nie można uważać, że „za Powstanie w Warszawie ponoszą odpowiedzialność wszyscy powstańcy", na tej zasadzie, że „Armia Krajowa była wojskiem ochotniczym, nie z poboru". Celowość istnienia Armii Krajowej i oporu przeciw Niemcom w czasie okupacji nie może być kwestionowana. Ale można kwestionować celowość takich czy innych poszczególnych akcji A.K. Powstanie było właśnie taką — największą niewątpliwie, ale jedną z wielu — akcją A.K. Ochotnik wstępuje do wojska z własnej woli, ale po wstąpieniu musi słuchać rozkazów jak żołnierz z poboru i nie może odmawiać udziału w akcjach, które mu nie odpowiadają i powoływać się na swój ochotniczy zaciąg. Jakże więc można mówić, że żołnierz, który zapisywał się do A.K. w konspiracji jest odpowiedzialnym za to, że wziął udział w walce, gdy przyszedł rozkaz Powstania?! A ochotnicy, którzy wstąpili w szeregi Powstańców już w czasie Powstania, robili to niejednokrotnie nie dlatego, żeby akurat uważali, iż decyzja zaczęcia Powstania 1. 8. 44 była słuszna, celowa itd., ale z poczucia solidarności z walczącymi, gdyż walka wybuchła już i toczyła się. Wtedy trzeba było swoim pomóc, nie zagłębiając się w kwestie wówczas (ale nie teraz) akademickie. Wyrazem takiej samej solidarności, a nie poparcia decyzji wywołania Powstania, jest przytoczony przez p. Bielatowicza nie zupełnie właściwie cytat z książki Korbońskiego. Nie można mówić o „żołnierzach", o „wojsku", a wybuch Powstania przedstawiać jako spontaniczny odruch, ruchawkę „cywil-bandy". Żołnierze A.K. wykonali rozkaz, przystępując do walki. Nieliczni z nich, którzy mieli broń, „chwycili za nią", ale na rozkaz i nie są za to odpowiedzialni. Tylko w jednym wypadku można mówić o odpowiedzialności żołnierza i obowiązku odmowy wykonania rozkazów: gdy wchodzą w grę kwestie moralne. (Stąd pociąga się do odpowiedzialności żołnierzy niemieckich, którzy wykonali rozkazy mordu itd.) Rozkazy otrzymane przez żołnierzy A.K. nie były źle moralnie, ale może były niemądre. Nad mądrością rozkazów żołnierz zastanawiać się nie może, nie mając zresztą obrazu całokształtu sytuacji. Nie ma więc mowy o tym, żeby żołnierz mógł być uważany za „winnego", dlatego że wykonał rozkaz podjęcia walki. Nie wiem czy plebiscyt w dniu 1. 8. 44 (nawet wyłączywszy bardzo nielicznych germanofilów) wykazałby 100% głosów za Powstaniem, jak to pisze p. Bielatowicz, ale nie przeczę, że żołnierze A.K. szli do Powstania chętnie. Nie zapominajmy jednak, że odpowiedzialność w decyzjach kładących na szali losy narodów czy zbiorowisk ludzkich spada nie na szarych obywateli, którzy nie znają wszystkich faktów i którzy wiedzą bardzo mało o wydarzeniach, w jakie zostają wciągnięci, lecz na przywódców, a tym nie wolno dać się unieść ogólnym entuzjazmem. Wybaczy mi Pan, że pozwolę sobie przytoczyć zdania z mojego artykułu o poetach Podziemia, jaki był Pan łaskaw umieścić w numerze powstaniowym, skreślone wówczas przez Pana z braku miejsca: „Młodzi dają swe życia z wiarą w sprawę, ale to starsi na najwyższych stanowiskach wydają decyzje i młodymi życiami dysponują. Decyzje te winny tak być podejmowane, by tych żyć ginęło jak najmniej i tylko wtedy, gdy istnieją realne warunki osiągnięcia celów, dla których się je poświęca".

Andrzej Pomian w swym artykule **U źródeł błędu** (także drukowanym w powstaniowym numerze) w rzeczowy sposób wyjaśnił błąd w kalkulacjach dowództwa AK, które nie przewidziało przeciwuderzenia niemieckiego. To był błąd wojskowy, jeden z tych, których nie da się uniknąć i za to nikt nikogo do odpowiedzialności pociągać nie zamierza. Natomiast punktem centralnym zagadnienia są błędy polityczne i związana z tym odpowiedzialność kół rządowych. To właśnie poruszył ks. Kantak, zresztą stawiając sprawę zbyt skrajnie. Język angielski rozróżnia między zabójstwem zamierzonym (murder) i niezamierzonym z góry (manslaughter). Tylko pierwsze z nich można zakwestionować jako zbrodnię, ale winni drugiego także ponoszą pewną odpowiedzialność. W wypadku powstania popełnione błędy miały skutki fatalne, ale chyba nie zamierzone. Nie trzeba więc zarzucać politykom zbrodni i zdrad, ale spokojnie rozważać błędy i widzieć brak mądrości i roztropności u tych ludzi. P. Bielatowicz zgadza się z tym, że „celowość i błędy Powstania muszą... być poddane surowej krytyce", ale z drugiej strony stawia znak równania między kwestionowaniem mądrości politycznej wywołania Powstania a potępieniem Powstańców. Są to jednak dwie różne rzeczy. Czcimy Powstańców, którzy dali z siebie wszystko, ale nie pociąga to za sobą uwielbienia dla tych, którzy ich na śmierć wysłali. Zupełną rację ma p. Bielatowicz, że nie było w Powstaniu oszustów i oszukanych. Byli sami oszukani, ale to nie wyklucza odpowiedzialności niektórych z tych oszukanych: nieroztropnych rozkazodawców.

Uważam też, że nie powinniśmy się sami nadal oszukiwać. Nie można mówić, że Powstanie 1944 r. było „jedynym udanym i dla narodu korzystnym powstaniem narodowym", że powstańcy „osiągnęli... cel, o który walczyli". Zwycięstwo powstańców było moralne. Jego rozmiarów nie należy nie doceniać. Ale nie ujmuje się ich osiągnięciom nic, jeśli się stwierdzi, że — nie z ich winy — konkretny, materialny cel dla jakiego walczyli, t.j. wyzwolenie stolicy, nie został zrealizowany. Miasta nie tylko nie oswobodzono, ale zostało ono doszczętnie zniszczone. Nie mogę się nagiąć do filozoficznego idealizmu i przyjąć założenie, że tylko duchowe walory się liczą. Rzeczywistość zmysłowa też ma pewne znaczenie. Jeśli Powstanie miało być rzeczywiście — o czym nie jestem przekonany — tylko „pokazem", „pochodnią", „manifestacją", „zadaniem kłamu" (słowa p. Bielatowicza), innymi słowy jeśli miało być propagandowo-prestiżowym gestem, to tym gorzej świadczy to o mądrości politycznej naszych przywódców, którzy powinni wreszcie nauczyć się, że nie istnieją atuty uczuciowe w polityce. Zaś fakty propagandowe są nieraz wskazane, ale trzeba w tym zachować zmysł proporcji. Aby uzyskać taki efekt, Sowiety wydają swoim rozkaz, Amerykanie wydają miliony dolarów, a Polacy... wydają stolicę na zniszczenie.

Polski system jest według mnie najmniej sensowny. „Ruiny stolicy stały się znamieniem jej odbudowy", ale gdyby nie produkowano ruin, odbudowa nie byłaby potrzebna. Jedną z pobudek prestiżowych, które wymienia p. Bielatowicz (mówiąc o działalności A.K.) była rehabilitacja „za tragiczny wrzesień 1939". Twierdzę, że poczucie konieczności rehabilitacji za wrzesień jest jednym z wielu naszych niepotrzebnych kompleksów. Klęska nie była rzeczą przyjemną, ale (jak widzimy dziś z perspektywy) niestety naturalną i nieuniknioną. Państwo o tyle słabsze od przeciwnika i prawie okrążone musiało przegrać. (Nawet ucieczki władz nie ma się czego wstydzić, choć w swoim czasie rozgoryczyła ona wielu. Lepiej, że udały się za granicę i zapewniły ciągłość rządów, niż gdyby zagarnęli wszystkich Niemcy.) Na miarę swych możliwości daliśmy opór wyjątkowo duży, a że przegraliśmy? Gdyby wrzesień wymagał rehabilitacji, to wymagałoby tego i Powstanie sierpniowe, zakończone militarną klęską. A tego przecież nikt nie twierdzi.

Wojnę prowadziliśmy także dla konkretnych celów na tej ziemi. Nie możemy pisać o Powstaniu, w którym straciło życie dwieście tysięcy Polaków, w którym zniszczone zostało milionowe miasto i bezcenne skarby sztuki, że było ono „powstaniem udanym", że „cele, o które walczono, zostały osiągnięte". Zachowanie wartości duchowych jest dla każdego narodu sprawą życia i śmierci. Ale w mniejszym stopniu skazany jest na zagładę naród, który świadomie i stale lekceważy swój potencjał biologiczny i wartości materialne. Nie wolno nazywać klęski zwycięstwem, bo postawa taka prowadzi do prowokowania nowych klęsk w przyszłości. Trzeba pamiętać o spoczywającej na nas odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń. To jest nauka, jaką daje nam nie kto inny, lecz polegli Powstańcy warszawscy. Proszę mi wybaczyć, że tę przydługą wypowiedź zakończę dwoma cytatami, które także musiał Pan skreślić z artykułu o poetach Podziemia. Oto Tadeusz Gajcy mówi potomnemu:

Ach, tak się dziejom jutrzennym napatrz,
jak my twarze w płomieniu kute
zwracaliśmy, gdzie grom swoje światło
jak fontanny podnosił łodkę.
Lecz się kochać nie ucz tych ogni,
bo sen łatwy — lecz smutek pod nim.

(Temu, który przyjdzie)

A do Boga kieruje poeta równie jasną prośbę:

nie daj, strzegący kresu,
by potem w kraju pszenicznym
nasze rumiane dzieci
bawiły się w apokalipsę.

(Groteska bardzo smutna)

Bolesław Taborski

ODPOWIEDŹ

Bolesław Taborski twierdzi, że „nie może się nagiąć do filozoficznego idealizmu". Niżej podpisany również. Tylko, że obaj rozumiemy przez idealizm bodaj coś zupełnie różnego. Bowiem Taborski nazywa idealizmem jakiś taki dziwny kierunek filozoficzny, który głosi, że „tylko duchowe walory się liczą". W historii filozofii mało jest ów kierunek znany. Natomiast doskonale są znane dwie inne odmiany idealizmu, mianowicie epistemologiczny idealizm immanentny, który głosi, że podmiot nie jest zdolny do wyjścia w jego aktach poznawczych poza własną sferę immanentną (Berkeley, Hume), a także istnieje epistemologiczny idealizm transcendentalny, tj. kierunek, wedle którego byty naprawdę istniejące nie są dostępne poznaniu, które może dotyczyć tylko konstrukcji myślowych (Kant).

Nie odpłacę się pięknym za nadobne i nie nazwę Bolesława Taborskiego naiwnym materialistą, aczkolwiek z przekąsem odzywa się on (niekonsekwentnie zresztą) o wartościach duchowych, czego, jak wiadomo, nie czynią nawet diamatycy.

Mniej więcej podobny do posądzenia o idealizm jest zarzut wyznawania zasady „odpowiedzialności zbiorowej", tzn. również oparty na nieznajomości pojęcia. Odpowiedzialność zbiorowa istotnie była stosowana w hitlerowskich praktykach i polegała na tym, że grupa rodzinna, społeczna, zawodowa czy narodowa była prześladowana jako całość za przynależność do niej poszczególnych członków, z którymi prześladowcy mieli prawdziwe lub urojone porachunki. Tak więc Niemcy mordowali rodziców za to, że ich synowie byli w partyzantce, albo zamykali do bunkrów śmierci wybranych na ślepo więźniów obozów za ucieczkę jednego ze współwięźniów, albo rozstrzeliwali mieszkańców domu za to, że pod tym domem ktoś napadł na żandarma, albo palili wsie za to, że ktoś ukrywał w nich ściganego zbiega, albo po prostu mordowali ludzi za to, że byli Polakami czy Żydami. Do perfekcji doprowadziły ten system Sowiety, „karając" za polskość miliony ludzi wywożonych do więzień i łagrów. Stosowanie odpowiedzialności zbiorowej jest istotnie zbrodnią i pojęciem z zakresu kryminologii.

Jest rzeczą pożałowania godną, że propaganda sowiecka poczyniła tak straszne spustoszenie w umysłach polskich, skoro w ogóle zdolne są one o tragedii narodu mówić językiem kryminologii. Jest wprost nie do wiary, by można o heroicznym zrywie własnego narodu mówić terminami: morderstwo i zabójstwo, które to terminy rozróżnia zresztą nie tylko język angielski, ale każdy język świata.

Ale skoro już taka tonacja, tedy wróćmy do „odpowiedzialności zbiorowej". Otóż jest rzeczą najoczywistszą, że za udział w wojnie ponosi odpowiedzialność każdy żołnierz. Ładnie by wyglądała taka sytuacja, gdyby obywatele mogli skarżyć dowódców wojskowych czy przywódców politycznych o śmierć swoich synów udowadniając, że nie mieli oni nic — dajmy na to — przeciw Niemcom. Przecież żołnierz wyprawiający się w pole nie jest strzelającym automatem, lecz świadomym swej roli wykonawcą woli narodu. Dlatego za śmierć i rany na wojnie nie pociąga się nikogo do odpowiedzialności, dlatego też każdy żołnierz idzie do niewoli, jeśli nieprzyjaciel wziął nad nim górę.

Co innego, jeśli się człowieka wciela do wojska siłą, jak to czynili Niemcy z Polakami. Taki żołnierz ma prawo domagania się zwolnienia z niewoli (co stosowano w czasie ostatniej wojny na szeroką skalę) i ma nawet w razie poniesienia strat prawo skarżenia o odszkodowanie rządów zaborczych. Lecz żołnierz własnego narodu i do tego jeszcze ochotnik? Jest w młodym pokoleniu jakiś niebezpieczny kompleks „zielonego Jasia", którego nabrano na wojaczkę wbrew jego ochocie.

Cóż za bezsens wymagać, aby każdy żołnierz decydował, jak, gdzie i kiedy mają go użyć dowódcy! Przecież by to przeczyło założeniu organizacji zwanej wojskiem. Żołnierz nie tylko odpowiada za czyny swojej armii, ale jest to nawet jego obowiązek, wynikający z prawa Bożego i ludzkiego.

Chyba więc Bolesław Taborski nie zastanowił się pisząc: „Żołnierze A.K. wykonali rozkaz, przystępując do walki. Nieliczni z nich, którzy mieli broń, „chwycili za nią", ale na rozkaz i nie są za to odpowiedzialni." A więc odpowiedzialność z ograniczoną poręką. Śliczny żołnierz i całkiem nowoczesny! Takie wzory są nawet znane z niedawnej przeszłości; nazywano je „radami żołnierskimi" albo „sowietami". Oczywiście, nie to miał Taborski na myśli. Ale idąc drogą jego rozumowania, kto w końcu może być w pełni odpowiedzialny? Szary żołnierz nie, podchorążowie też pewnie nie, może i nie porucznicy, i chyba ostatecznie nie kapitanowie? Któż więc? Bór Komorowski? Wątpliwe.

Przy czym — za co odpowiedzialny? Wszak losy wojen i bitew w ręku Boga. Każde wojsko rusza w bój nie wiedząc — wygra czy poniesie klęskę? A która to zresztą z akcji A.K. była naprawdę wygraną? B. Taborski ma zdumiewające wyrozumienie dla klęski wrześniowej, która wydaje mu się „niestety naturalną i nieuniknioną". Jakże to? Pozwolić w ciągu kilkunastu dni zburzyć państwo, pozwolić na pogrom szkolonej przez 20 lat i dobrze wyposażonej armii, otworzyć śluzy tych wszystkich nieszczęść, które nas pochłaniają od lat piętnastu — to ma być „naturalne i nieuniknione", a wystąpienie do walki słabych oddziałów wobec politycznej i historycznej konieczności, w imię najbardziej realnych spraw politycznych — to zbrodnia lub w najlepszym razie zabójstwo?

Rzecz prosta, że ustanowienie przez gen. Sikorskiego trybunału dla winnych klęski wrześniowej było tylko straszakiem politycznym, gdyż nikt nie miałby prawa wydawać wyroków nad wielkimi i nie zamkniętymi procesami dziejów. Któż z nas może powiedzieć, czy opór Polski w r. 1939 był, jest i będzie dla nas i dla świata przyczyną potopu czy jutrzenką nowego porządku? I któż ma prawo dziś wyrokować, czy zburzenie Warszawy i krew powstańców z r. 1944 były zagładą stolicy i narodu, czy też uratowaniem go przed śmiercią? Można, owszem, z małej, tymczasowej, doraźnej, „roboczej" perspektywy ważyć na szlakach straty i zyski niedawnych wydarzeń historii, ofiary i posiew przyszłego dobra. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie dwa nieznośne tony, oba nastrojone, zdaniem piszącego te słowa, przez naszych wrogów: jeden, aby szukać i piętnować sprawców jakoby jakichś przestępców, drugi, że dla dóbr materialnych nie warto było ponosić ryzyka.

Bolesław Taborski uważa takie ryzyko za głupotę, ponieważ „cele materialne" nie zostały osiągnięte i przechodzi do porządku nad całą argumentacją, że nie tylko było warto, lecz że nawet było trzeba, oraz twierdzi, że „nie istnieją atuty uczuciowe w polityce", szukając n.b. argumentów w... poezji. Nie wiem, gdzie mój szanowny Oponent nabrał tak głębokiej wiedzy o polityce, ale na podstawie tego, co zdołałem z niej uszczknąć, skłonny byłbym zaryzykować twierdzenie, że w polityce „atuty" uczuciowe grają przed wszystkimi innymi, o czym łatwo się przekonać nie szukając zbyt daleko. A co do „walorów" i „atutów" materialnych, ośmielam się wyrazić pogląd, że tak już dobry i wielki Bóg zrządził, iż narody i ich cele na ziemi są przede wszystkim pojęciami duchowymi, a dopiero potem fizycznymi, czego chyba nie należy udowadniać emigrantom.

Taborski ma skłonność do pośpiesznych syntez. I tak np. charakteryzuje postępowanie poszczególnych narodów podczas wojny: „Aby uzyskać taki efekt (propagandowy), Sowiety wydają swoim rozkaz, Amerykanie wydają miliony dolarów, a Polacy... wydają stolicę na zniszczenie." Czy przypadkiem Bolesław Taborski nie zapomniał, że dla efektu Sowiety również naraziły na zniszczenie niejedno ze swoich miast, z Moskwą i Stalingradem na czele i że Amerykanie nie dla doraźnych „materialnych celów" wypowiedzieli wojnę Niemcom i że dla efektu Londyn także był gotów raczej dać się zburzyć niż poddać?

Tak i my, gdybyśmy uratowali w roku 1944 od ruin Warszawę, kto wie, czy byśmy nie stracili Polski. „Ryzykując" jej całopalenie, zapewniliśmy jej wspaniałą odbudowę i nasze prawa w świecie, ale może i przyszłość Polski jako państwa. Z czym napewno zgodny jest w głębi swego sumienia Bolesław Taborski, żołnierz Powstania Warszawskiego.

Jan Bielatowicz

„HARVARD SLAVIC STUDIES"

W ubiegłym roku ukazał się pierwszy tom „Harvard Slavic Studies", zawierający artykuły wybitnych slawistów. Wydawnictwo to będzie się ukazywać co roku, a zamierza omawiać problemy z dziedziny kultur słowiańskich i ich wzajemnego stosunku. Pragnie je także zestawiać z kulturami niesłowiańskimi.

Na tematy polskie w tomie tym zabrali głos: W. Weintraub i M. Petrovich. Weintraub w artykule **Adam Mickiewicz, mistyk-polityk**, (Adam Mickiewicz, the Mystic Politician) stara się odkryć logikę myśli politycznej i czynu Mickiewicza i dochodzi do wniosku, że jest ona dość osobliwa. M. Petrowicz pisze o postawie panslawistów rosyjskich wobec powstania styczniowego. (Russian Pan-Slavists and the Polish Uprising of 1863).

Tom drugi (1954) poza pracą W. Lednickiego przyniósł trzy polonika St. Kot w artykule **Old International Insults: 1 The Mediaeval Period**, daje ciekawy przyczynek do stosunków między narodami w wiekach średnich. Jest to dopiero pierwsza część opracowania wyzwisk, w tym wypadku pisanych po łacinie. Autor wyzyskał dość bogate materiały polskie. Należy sądzić, że w dalszej części ilość polskich cytatów jeszcze wzrośnie.

W. Weintraub, zdaniem piszącego te słowa, posuwa się zbyt daleko dowodząc, że podobieństwo zwrotki wiersza **Spartakus** do strofy użytej przez Puszkina w **Oneginie** świadczy o umyślnym zwrocie Mickiewicza ku poecie rosyjskiemu.

W trzecim artykule J. Lechoń mówi obszernie o Stefanie Żeromskim jako ogniwie długiego łańcucha polskich pisarzy mesjanistycznych. Jest zdania, że nie sposób przełożyć doskonale prozy Żeromskiego, stąd jego niepopularność na Zachodzie. Przyrównuje go do Conrada, bo obu cechuje przywiązanie do spraw beznadziejnych i straconych.

Rocznik **Harvard Slavic Studies** należy powitać z radością. Bo w odróżnieniu od tuzinów pism zajmujących się Słowiańszczyzną, nie przyświecają mu cele polityczne.

F. Ś.

TEATR

STRACONE ZACHODY MIŁOSNE

Podobnie jak w zeszłym sezonie, komedie wciąż udają się Old Vicowi lepiej niż tragedie. Po średnim **Makbecie***) przyszły dość udane **Stracone zachody miłosne**, jako następne ogniwo w wielkim przedsięwzięciu inscenizacji wszystkich sztuk Szekspira. Sztuka ta, ongiś rzadko grana i uważana za ryzyko teatralne, odzyskała popularność przed dwudziestu laty w rezultacie świetnego studium Granville - Barkera, którego „przedmowy" zapłodniły myśl reżyserów Szekspira na długie lata. Inscenizacje **Straconych zachodów miłosnych** osiągnęły przed kilku laty swój punkt szczytowy na scenie Stratfordu w koncepcji młodego Peter Brooka i w Old Vicu w reżyserii Hugh Hunta. Nie dorównuje im ostatnia inscenizacja w reżyserii Frith Banbury'ego, ale w obecnym — średnim niestety — stanie Old Vicu stanowi wcale znaczne osiągnięcie.

Historycy nie są zgodni co do daty powstania **Love's Labour's Lost** (1592-5). Sztuka ta nie jest może pierwszą komedią Szekspira, jak twierdzą niektórzy krytycy (osobiście uważam, że **Komedia omyłek** i **Dwaj panowie z Werony** są wcześniejsze), ale w każdym razie jest jedną z pierwszych. I trzeba stwierdzić, że geniusz wielkiego dramaturga, do tej pory ukryty pod chropowatościami konstrukcyjnymi i językowymi pierwszych sztuk historycznych i wspomnianych wyżej farsowych komedii, w tej sztuce dopiero objawił się w całej pełni. **Stracone zachody miłosne**, to komedia zdumiewająca bogactwem poezji, subtelnością języka, a — co najciekawsze — odznaczająca się oryginalnym wątkiem, w przeciwieństwie do większości sztuk Szekspira, których wątek zaczerpnięty jest z wcześniejszych źródeł historycznych lub literackich. Dzisiejszemu widzowi trudno pojąć jaką rewelacją było subtelne przedstawienie ideału współczesnego dworskiego życia, zwyczajów, sentymentów. Szekspir wprowadził na scenę nowy zupełnie świat: „eleganckiej socjety".

W pewnym sensie wątek **Straconych zachodów**, to wcześniejsza i odwrócona wersja **Ślubów panieńskich**, nie wyłączając „magnetyzmu serca". Oto król Nawarry i trzej jego dworzanie ślubują, że przez określony czas będą oddawali się studiom i trzymali z daleka od towarzystwa kobiet i wszelkich emocjonalnych powiązań. Ale gdy księżniczka francuska wraz z damami dworu przybywa dla załatwienia spraw urzędowych, każdy z nich łamie ślub, bo siła miłości jest mocniejsza... Oczywiście główny wątek jest odrealniony, jeśli chodzi o fakty, ale psychiczne przemiany bohaterów nakreślone są dramatycznie i wnikliwie. Wątki uboczne są osadzone mocno w rzeczywistości i świetnie dopełniają (pod innym kątem widzenia) zasadniczy problem jakim jest złamanie nierealnych ślubów. Najważniejszym osiągnięciem tej sztuki jest język, skrzący się subtelnym bogactwem wszelkich odcieni, od poetyckich wzlotów wyobraźni, do ciętego, satyrycznego dowcipu. **Stracone zachody** są jednym z pierwszych wskaźników, że Szekspir zachwycił się językiem. Zachwyt ten miał (na szczęście dla nas!) pozostać już do końca jego twórczości.

Frith Banbury dał nam gładką i kompetentną wersję **Straconych zachodów**. Akcja rozwija się szybko i elastycznie, reżyser nie poskąpił mniej lub więcej subtelnych efektów, a jakkolwiek całość nie odznacza się wzrokową celnością czy satyryczną głębią, jak niektóre z poprzednich inscenizacji, nie mniej jednak byliśmy świadkami zajmującego i dowcipnego zainterpretowania tekstu. Dość dobrze wypadły maski i w ogóle sceny widowiskowe. Dobrą muzykę, technicznie nowoczesną, ale w stylu epoki skomponował Clifton Parker. Cecil Beaton zaprojektował bardzo piękne w kroju i kolorze kostiumy oraz ciekawe dekoracje. (Pomysłowym elementem były przenośne łuki, które umożliwiły szybką i efektowną zmianę scen.) W dekoracjach słusznie przeważała zieleń (skoro akcja toczy się w parku). Ale harmonizujące z sobą odcienia zieleni nie potrafiły stanowić przeciwwagi dla ubogiego i skąpego operowania światłem. Światłocień jest w **Straconych zachodach** elementem dramatycznym w tym samym stopniu co dźwięk w **Burzy**. Reżyser nie wykorzystał jednakże bogatych możliwości mechanizmu świetlnego teatru Old Vic (które z takim powodzeniem zaprezentował nam Helpman w swojej inscenizacji **Burzy**). Aktorzy paradują cały czas w pełnym świetle, a parę zmian w jego nasileniu (np. przyciemnienie pod koniec) przeprowadzono banalnie (może z wyjątkiem udanego zaciemnienia w epilogu). Podobnie jak w **Makbecie** nie sharmonizowano reflektorów, co przydało aktorom po parę cieni.

Główne laury aktorskie należą się zdolnemu artyście, jakim jest John Neville, za przemyślaną kreację Berowne. Romantyczne, młode role szekspirowskie są jego specjalnością. Muzyczny ton głosu, staranna intonacja i dykcja predestynowały go niejako do roli tak obficie obdarzonej przez autora poezją. Neville'owi może troszeczkę brakowało ciepła, ale na ogół wywiązał się z zadania świetnie. Wielka mowa Berowne o miłości w akcie IV, scena 3, wypadła szczególnie dobrze. Eric Porter był godnym i dystyngowanym królem Nawarry i jego dykcja także nie pozostawiała nic do życzenia. Paul Rogers jako Don Adriano de Armado, udowodnił, że w rękach dobrego aktora nawet typowa, karykaturalna rola może nabrać głębi i rumieńców życia. Czołowe aktorki zespołu: Ann Todd jako księżniczka francuska i Virginia McKenna jako Rosaline odegrały z odczuciem swoje skromne dramatycznie role. Z pozostałych aktorów wybijał się Laurence Hardy, który w roli pedantycznego Holofernesa uniknął karykatury i dał przekonywującą kreację trudnej do realistycznego ujęcia postaci. Paul Daneman zmieniony do niepoznania wyglądem i głosem, stworzył niezłą miniaturę aktorską w roli Nathaniela. Mały Bunny May dał sobie dzielnie radę jako paź Moth. Inni aktorzy grali na ogół poprawnie.

Stracone zachody miłosne w obecnym wydaniu Old Vica nie są wydarzeniem epokowym, ale inscenizację należy uznać za udaną, nie pozbawioną kilku wybitnych kreacji aktorskich. Trzeba jednak ostrzec widza, że wyciągnięcie pełnej korzyści i rozrywki z tej sztuki wymaga dokładnej znajomości języka angielskiego, ze względu na to, że wartość jej tkwi głównie nie w sytuacjach scenicznych, ale w niezrównanym, a subtelnym — zasadzającym się często na grze słów — komizmie dialogu i w hojnie porozrzucanym bogactwie poezji.

Bolesław Taborski

*) Patrz ŻYCIE nr 43/383 z 24.10.54.

NEKROLOGIA

Ś. p. Ludomir Komierowski

W styczniu b.r. zakończył życie w Mediolanie, po długiej i ciężkiej chorobie, ś.p. Ludomir Komierowski, b. szef kancelarii Ambasady R.P. przy Stolicy Apostolskiej od 1919-1929, następnie sekretarz Ambasady przy Kwirynale i wreszcie urzędnik konsulatu w Mediolanie. Był to człowiek o wybitnych zdolnościach. Wszechstronnie wykształcony, erudyta, krytyk muzyczny, znakomity znawca sztuki i historii Rzymu, papieży i historii Kościoła. Być może, że krew Sienkiewiczów, która płynęła w jego żyłach — był on siostrzeńcem Henryka Sienkiewicza — przyczyniła się do obdarzenia go umiłowaniem wszystkiego co piękne, głębokim wyczuciem literatury i zdolnościami pisarskimi.

Rzym od wieków gościł w swoich murach świetną reprezentację polską, nie zawsze w dyplomacji oficjalnej — znaczenia jej Najjaśniejsza Rzplta nie doceniała — lecz składającą się z wybitnych osobistości, w których zalety ducha narodowego łączyły się z wartościami wspólnej dla Europejczyków kultury klasycznej, stanowiącej o tym, że w jej atmosferze wszyscy ludzie Zachodu czują się sobie bliscy i wzajemnie się rozumieją. Takich wybitnych osobistości na nowo utworzonych placówkach dyplomatycznych rzymskich i w kolonii polskiej w Rzymie w latach dwudziestych nie brakowało; można by wymienić długi łańcuch nazwisk; wspomnieć tu należy ambasadora Władysława Skrzyńskiego i radcę, późniejszego ministra, Jana Perłowskiego, który na ziemi Wielkiej Grecji, w uniwersytecie w Katanii, miewał wykłady o literaturze greckiej. Do tej plejady wybitnych Polaków, którzy niezależnie od zajmowanych stanowisk byli prawdziwymi ambasadorami kultury polskiej wobec obcych, należał również ś.p. Ludomir Komierowski.

Nie dane mu było osiągnąć wyższych stanowisk w karierze dyplomatycznej. Jednak na tych stanowiskach, które zajmował, oddał rzetelne usługi. Jako szef kancelarii Ambasady przy Stolicy Apostolskiej, w szczególności w okresie zabiegów o nową organizację kościelną w Polsce i w czasie zawierania konkordatowych, brał on niezmiernie żywy udział w pracach Ambasady, gdyż ambasador Skrzyński miał dar do wykorzystywania w pracy zespołowej wszystkich zdolności swoich podwładnych.

Wojna zastała ś.p. Ludomira Komierowskiego na stanowisku urzędnika konsulatu w Mediolanie; po zerwaniu przez Włochy stosunków dyplomatycznych z Rządem polskim, przydzielony został do jednej z placówek na południu Francji. Przyszła okupacja niemiecka. Ś.p. Ludomir Komierowski należał do jednej z polskich organizacji podziemnych. Został wkrótce aresztowany i prawie trzy lata spędził w więzieniach, najpierw we Włoszech, a następnie w Berlinie, gdzie przebył okres strasznych bombardowań. Przed samym końcem wojny udało się misji hr. Bernardotte'a uwolnić go i przewieźć do Szwecji.

W lipcu 1945 roku przez Londyn powrócił do Włoch. Ciężkie koleje losu nie załamały go. Był zawsze pogodny, interesujący się wszystkim, gotowy do dalszej służby dla sprawy ogólnej.

Po całym życiu owocnej pracy, gdy Ojczyzna zażądała od niego ofiary i cichego bohaterstwa, spełnił bez wahania cały swój obowiązek.

F. Frankowski

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 14 listopada 1954.

NASZE SPRAWY

NASZE ZAKONY I ZGROMADZENIA

Kościół katolicki ma życie niezmiernie bogate i różnolite i jedną z konsekwencji tego jest mnogość istniejących w nim zakonów i zgromadzeń zakonnych. Każdy zakon czy zgromadzenie zakonne służy innej potrzebie lub zaspokaja w życiu Kościoła inną funkcję. Czym innym są ojcowie biali, czym innym salezjanie, a czym innym znowu benedyktyni i czymś jeszcze innym trapiści.

Polska jest narodem katolickim i ma niezliczone mnóstwo problematów religijnych — duchowych, duszpasterskich, wychowawczych czy innych — identycznych z innymi narodami. Jeśli posiada ona kwitnące polskie prowincje jezuitów, dominikanów, misjonarzy, franciszkanów itd., to składa tym dowód uczestniczenia w życiu Kościoła łacińskiego nie jako ciało wyodrębnione, lecz jako jego organiczna część. Niedawny Prymas i Kardynał, salezjanin, ks. Hlond, albo niedawny generał Towarzystwa Jezusowego, ojciec Ledóchowski, oraz jezuiccy święci Stanisław Kostka i Andrzej Bobola, albo dominikańscy święci, św. Jacek i bł. Czesław, albo miejmy nadzieję przyszły franciszkański święty ojciec Kolbe — oto są świadkowie uczestnictwa Polski w życiu Kościoła w roli narodu nie innego od innych.

Obok tego jednak, rzecz prosta, Polska, jak każdy inny naród, posiada swoje problematy specyficzne. Nie ma w Polsce ani kawałka arabskiej pustyni i dlatego nie ma w niej pola działania dla zgromadzenia oo. białych. Natomiast jest w Polsce zjawisko, nieznane gdzie indziej, masowego od wieków współżycia katolików z ludnością prawosławną i cały szereg innych zjawisk podobnego typu, których nie ma gdzie indziej. Polska posiada swoje własne, odrębne warunki życia i swoje własne, specyficzne potrzeby i zadania — i to sprawia, że potrzebuje ona istnienia także i zakonów i zgromadzeń zakonnych, które by miały na oku jej potrzeby w sposób szczególniejszy.

Dzisiaj ta pewna odrębność warunków i potrzeb Polski zaznaczyła się w sposób ostrzejszy, niż przedtem. Polska jest pod rządami komunistycznymi. Jest jedynym wielkim narodem katolickim, w całości przez potęgę komunistyczną podbitym. Jest zarazem główną twierdzą Kościoła w świecie za żelazną kurtyną oraz głównym wyłomem, przez który rządząca potęga komunistyczna usiłuje do niedostępnej twierdzy Kościoła katolickiego wtargnąć. Stwarza to dla Kościoła w Polsce cały szereg problematów innych niż problematy reszty świata, problematów, które konsekwencjami swoimi będą absorbowały Kościół i naród polski przez całe pokolenia.

Obok tego jest jeszcze i drugi powód, który nadaje dziś odrębnym polskim zgromadzeniom i zakonom szczególniejsze znaczenie. Polska jest dziś od reszty Kościoła fizycznie odcięta. Nawet w czasach najgorszego ucisku Polski w XIX stuleciu, każdy polski biskup mógł swobodnie odbywać podróże do Rzymu, sprowadzać z Rzymu książki, otrzymywać szczegółowe dyrektywy, posyłać zdolnych księży na studia. Polska była podzielona — i to miało też i swoje dobre strony: co było niemożliwe na przykład w Wilnie, mogło być możliwe w Królestwie, albo w Galicji, albo w Poznańskim — lub odwrotnie. Dzisiaj tylko polska emigracja jest w kontakcie z resztą Kościoła. Ale przecież emigracja żyje wśród obcych. Nie tworząc, jak Rusini czy Ormianie, odrębnego obrządku, nie może mieć odrębnej hierarchii. Rola polskich zgromadzeń zakonnych jako ośrodków działania polskiego Kościoła po tej stronie żelaznej kurtyny i jako reprezentacji tegoż Kościoła wobec całości świata katolickiego jest więc dziś szczególnie wielka.

Niewiele mamy polskich zgromadzeń zakonnych. Właściwie żadne z nich nie jest czysto polskie; są one jednak przeważająco polskie, są na tyle polskie, że mogą szczególniejsze, polskie funkcje w życiu Kościoła spełniać.

Jest zadaniem emigracji zapewnić tym zgromadzeniom rozkwit.

Autor tych słów jest człowiekiem świeckim i ojcem rodziny. Jest rzeczą ambarasującą wzywać innych do tego, czego się samemu wykonać nie może. A jednak wezwanie do tego właśnie musi się sprowadzić: emigracja musi polskim zgromadzeniom dostarczyć dostatecznej liczby powołań.

Rzecz prosta, musi je także — w miarę sił — wspierać finansowo, pomagać im w ich przedsięwzięciach, oraz zapewniać im wszelką możliwą pomoc i poparcie.

Jakież są polskie zgromadzenia i zakony?

Najczcigodniejszym z nich jest zakon ojców paulinów. Założony w roku 1225 w Ostrzynomiu na Węgrzech, był on zawsze zakonem polsko-węgierskim, jednakże jego oblicze jest raczej polskie. Prastary ten zakon, równy wiekiem dominikanom, lecz charakterem swoim pokrewniejszy benedyktynom, ma swoją główną twierdzę w czcigodnym klasztorze jasnogórskim w Częstochowie. Poza malutką placówką w Rzymie, jest on nieobecny na emigracji. W dziejach Polski odegrał rolę olbrzymią.

Drugim z rzędu w kolejności wieku są ojcowie marianie. Założył ich w roku 1671 czcigodny ojciec Jan Papczyński. W wieku XVIII domy zgromadzenia ojców marianów istniały już w wielu zakątkach świata, a szczególnie licznie w Portugalii i w Hiszpanii, ale główną twierdzą i terenem działania zgromadzenia były nadal ziemie polskie. Rozbiory Polski zadały zgromadzeniu dotkliwy cios. Podupadło ono, a powstanie 1863 roku, gdy prawie wszystkie domy w zaborze rosyjskim zostały zamknięte, dobiło je w sposób ostateczny. W końcu XIX wieku istniał już tylko jeden dom oo. marianów — w Mariampolu, miasteczku, które wtedy należało do Królestwa Kongresowego, a potem do Litwy Kowieńskiej, w którym żyło trzech ojców, a czterej inni żyli w rozproszeniu. W roku 1910 żyło już tylko dwóch ojców marianów, staruszków, którzy zmarli jeden w 1911, a drugi w 1914 roku. A jednak zgromadzenie zostało uratowane. W roku 1910, w tajemnicy przed rządem rosyjskim, zgromadzenie zostało zreformowane i pierwsi nowi trzej ojcowie zostali przez sędziwego ojca superiora Sikowskiego przyjęci do zgromadzenia. Jednym z nich był późniejszy Superior Generalny i Biskup, Jerzy Matulewicz, narodowości litewskiej. Zgromadzenie rozrosło się potem szybko i doszło do nowego rozkwitu. Znamy je dobrze w Anglii dzięki jego placówkom takim, jak rodzące się gimnazjum w Fawley Court i jak zakład w Herefordzie. Znają je zwłaszcza dobrze również i Polacy amerykańscy.

Trzecimi z rzędu są ojcowie zmartwychwstańcy. Założeni przez ojca Semeneńkę w 1836 roku, w erze emigracji po powstaniu listopadowym, stawiali sobie za szczególniejsze zadanie podźwignięcie życia religijnego polskiego, zdezorganizowanego przez prądy wolnomyślno-rewolucyjne. Jednym z ich czołowych umysłów był słynny historyk, ojciec Walerian Kalinka. Dzisiaj, odgrywają oni wielką rolę zwłaszcza w życiu Polonii amerykańskiej. M. in. są wydawcami wielkiej polsko-amerykańskiej gazety codziennej, „Dziennika Chicagowskiego".

(Uniccy bazylianie, którzy ongiś mieli wszelkie cechy zgromadzenia o obliczu polskim, nie mogą już być dziś za zgromadzenie polskie uważani.)

Emigracja polska winna starać się czynić wszystko, co jest w jej mocy, by zgromadzeniom tym zapewnić rozkwit. Dotyczy to rzecz prosta także i zgromadzeń żeńskich: sióstr nazaretanek, zmartwychwstanek i innych.

POLONUS

LISTY

CZYM DZIEŁEM BYŁA UNIA BRZESKA?

Szanowny Panie Redaktorze!

Redakcja ŻYCIA stwierdza w przypisku do mojego artykułu, że nie zgadza się z moim poglądem, iż unia brzeska jest dziełem polskiego narodu, gdyż w doprowadzeniu jej do skutku wybitną rolę odegrali — Rusini. Oczywiście, nikt tak oczywistego faktu, jakim jest rola Rusinów, kwestionować nie może. Tylko że to byli Rusini z przełomu XVI i XVII stulecia, „gente Rutheni, natione Poloni". To, co zdziałali, zdziałali w granicach Polski, w ramach życia polskiego i w ogólnym nurcie przemian religijnych polskiej kontrreformacji.

Czy jeden z głównych twórców unii od strony ruskiej i jej sygnatariusz prawosławny biskup brzeski i włodzimierski, a potem drugi z rzędu unicki metropolita kijowski, Adam Hipacy Pociej, nie był Polakiem? Syn podskarbiego i pisarza najwyższego nadwornego za Zygmunta Starego, urodził się w wyznaniu prawosławnym, ale potem przeszedł na kalwinizm. 23 lata spędził w Krakowie, jako dworzanin na dworze Zygmunta Augusta. Był potem sędzią i kasztelanem brzeskim. Wrócił na prawosławie, a owdowiawszy wstąpił do klasztoru i został biskupem. Ogłosił drukiem wiele dzieł, propagujących unię, niektóre po rusku, znaczną większość po polsku.

Czy Welamin Józef Rutski, trzeci z rzędu unicki metropolita kijowski i najwybitniejszy organizator cerkwi unickiej, istotny twórca zakonu bazylianów, istotny inicjator zasady kościelnej, że nie należy bez specjalnego zezwolenia władz kościelnych zmieniać obrządku, nie był Polakiem? Pochodził z rodziny emigrantów moskiewskich, osiadłej na Białorusi i zupełnie spolszczonej. Urodził się w wyznaniu kalwińskim. Studiując na uniwersytecie wileńskim, nawrócił się na katolicyzm i przyjął go w obrządku łacińskim. Bawiąc w Rzymie, przeszedł na obrządek wschodni na życzenie papieża. Wszystkie swoje dzieła napisał po polsku.

Czy dwaj pozostali wybitni twórcy unii od strony ruskiej, metropolita Rahoza i biskup Terlecki, też nie byli Polakami, choć nie byli nigdy kalwinami, ani łacinnikami? Nawet główny wódz prawosławnego oporu przeciwko unii, książę Ostrogski, był w istocie Rusinem-Polakiem.

Warto przypomnieć nawiasowo, że archidiecezja lwowska i diecezja przemyska nie wzięły udziału w unii brzeskiej. Przystąpiły do niej dopiero w sto lat później.

Na innym miejscu ŻYCIE cytuje aprobująco pogląd, że to... Ukraińcy zawarli unię brzeską. Można i tak. Ale w takim razie może warto by również pisać, że nieco wcześniej wojska sowieckie pod wodzą Iwana Groźnego zdobyły Połock.

Z poważaniem

POLONUS

OD REDAKCJI: Nie cytowaliśmy aprobująco poglądu, że to Ukraińcy zawarli unię brzeską, lecz przytoczyliśmy sprawozdanie dziennika watykańskiego „Osservatore Romano", w którym była mowa o uroczystościach w Kolegium Ukraińskim w Rzymie. W streszczeniu naszym znalazło się zdanie: „Pierwsi alumni ukraińscy przybyli do Rzymu w r. 1595, kiedy to Klemens VIII ogłosił unię Kościołów Ukraińskiego i Biało-ruskiego z Kościołem Rzymskim." Nie ma w tym zdaniu mowy o przynależności państwowej „alumnów ukraińskich", ani nawet o ich narodowości, lecz tylko i wyłącznie o ich przynależności kościelnej. A skoro w Watykanie nazywają ten Kościół ukraińskim, trudno nam, jako redakcji pisma katolickiego, nazywać go ruskim.

Zmiana polskich nazwisk

Szanowny Panie Redaktorze!

W dniu 11 października br. miałem możność przeprowadzenia dłuższej rozmowy z Ks. Arcybiskupem Dawidem Mathew, Biskupem Brytyjskich Sił Zbrojnych.

W toku tej rozmowy zostałem zapytany, dlaczego w wielu wypadkach młodzi Polacy, wstępując do wojsk brytyjskich, a szczególnie do lotnictwa, albo skracają swe nazwiska albo je całkowicie zmieniają.

Ks. Arcybiskup wyraził wielkie zdziwienie i ubolewanie, że Polacy przywiązują tak mało wagi do swych polskich nazwisk, co też na ogół nie jest dobrze widziane przez Anglików.

Ks. Arcybiskup upoważnił mnie do zakomunikowania jego opinii w tej sprawie szerszemu ogółowi, co pozwalam sobie uczynić, prosząc Pana Redaktora o wydrukowanie powyższego listu na łamach ŻYCIA.

Z wysokim poważaniem

Jan Baliński Jundziłł
Prezes Instytutu Pol. Akcji Kat. w W. Br.

„POLKA - DANCE"

Szanowny Panie Redaktorze!

Może jest nieco spóźniony mój list na temat, który pragnę poruszyć, ze względu na późne otrzymywanie ŻYCIA w Stanach Zjednoczonych, ale myślę, że będzie on aktualny.

Pragnę mianowicie gorąco podziękować „POLONUSOWI" za jego aż dwa artykuły w numerze, które mi się bardzo podobały: i ze względu na aktualność poruszonych zagadnień i na bardzo dobre ich ujęcie w stosunkowo krótkich wywodach.

Artykułami tymi są: „Kombatanci i dokerzy" oraz „Liczba dzieci" (ŻYCIE, z dnia 12 września 1954 r.).

Polacy lubieli słuchać we Włoszech, gdy przygodni włoscy znajomi mówili: „Polacchi sono molto religiosi". Polacy często powołują się na „Przedmurze chrześcijaństwa", ale chyba mało gdzie jest tylu ignorantów, tylu oportunistów i tylu „letnich" katolików, co niestety wśród Polaków! Dowodów na to jest mnóstwo na każdym kroku!

Nie lepiej jest pod tym względem i tu w Stanach Zjednoczonych. Takich piątkowych przyjęć czy herbatek z pogwałceniem piątkowego postu jest dużo.

Zakorzenił się tu ponadto zwyczaj, że pewne organizacje systematycznie urządzają co tydzień „Polka-dance" w piątki, podczas gdy w wielu innych kościołach katolickich innych narodowości, w piątki w tym samym czasie odbywa się „Godzina święta".

Ale najbardziej rażącym objawem wśród Polaków jest to, że 90% Polaków tylko raz lub dwa razy na rok chodzi do spowiedzi św. i przystępuje do Komunii św., podczas gdy wśród innych narodowości coraz bardziej wzrasta liczba ludzi codziennie przyjmujących Najśw. Sakrament.

J. Daszkiewicz

ZAPISKI LONDYNSKIE

GUILDHALL I POLACY

Ozdoba londyńskiej City, Guildhall, zbudowany w początkach XV wieku, dwukrotnie w ciągu swych dziejów uległ zniszczeniu. Po raz pierwszy stało się to w r. 1666, podczas wielkiego pożaru, który po dziś dzień przypomina pamiątkowa kolumna, tzw. Monument. Po raz drugi Guildhall spłonął w czasie ostatniej wojny od bomb niemieckich.

Po wojnie podjęto odbudowę Guildhallu, która trwała do tej pory i kosztowała ponad £ 200.000. W poniedziałek, 1 listopada br. budynek stał się znowu dostępny dla zwiedzającej publiczności.

Największego wysiłku i wkładu przy odbudowie wymagała wielka aula (Great Hall) Guildhallu, w której odbywają się uroczyste przyjęcia i w której dokonywany jest wybór Lorda Mayora i szeryfów miasta. Aula ta posiada 18 okien z witrażami, na których znajdują się monogramy królów i nazwiska 760 Lordów Mayorów Londynu.

Związany jest blisko Guildhall z dziejami dawnej emigracji polskiej. Tutaj odbywały się „bale polskie", które urządzane były rok rocznie przez Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski (Literary Association of the Friends of Poland) i gromadziły w latach 1837-1852 śmietankę towarzystwa angielskiego. Zwykle w listopadzie odbywał się taki „Polish Ball" w udekorowanej obficie barwami polskimi auli Guildhallu; dochód przeznaczony był na pomoc dla ubogich emigrantów polskich. W maju lub czerwcu urządzano bal wiosenny w sali Almacks albo festyn („Fête"). Imprezy te połączone były z koncertami i przynosiły znaczne dochody; czysty dochód z balu w r. 1837, w którym uczestniczyło ponad 2.000 osób, wynosił 1370 funtów. „Fete" w Stafford House w r. 1841 uświetnił swą grą Liszt, a na balu w Guildhallu w dniu 16 listopada 1848 grał Fryderyk Chopin; był to ostatni jego występ publiczny przed śmiercią.

STUDENCI KOMUNIŚCI

Jak donosi „Manchester Guardian", ogłoszone zostało sprawozdanie studentów brytyjskich, którzy w charakterze obserwatorów brali udział w ostatnim zjeździe rady Międzynarodowej Unii Studenckiej w Moskwie. Sprawozdanie zredagowali Frank Copplestone, prezes Narodowej (tj. ogólnokrajowej) Unii Studentów brytyjskich, i Alec Barbrook, wiceprezes tej organizacji.

Sprawozdawcy kwestionują ścisłość cyfry ponad 5 milionów członków, jakich według oficjalnych twierdzeń posiadać ma ta Unia Międzynarodowa. W jej organach zasiadać mają delegaci 46 krajów, ale tylko delegaci 18 mogą rościć pretensje do reprezentatywności w skali ogólnonarodowej — twierdzi raport. Spomiędzy tych 18 krajów 12 to „kraje komunistyczne" (sic); co do 2 innych: Boliwii i Birmy istnieją wątpliwości, a trzeci: Indonezja wystąpił z Unii już po napisaniu tego sprawozdania. Organizacje, występujące w imieniu Australii, Kuby, Holandii, Włoch, Meksyku, Hiszpanii i Libanu, reprezentują tylko „postępowe" odłamy studentów — w krajach, w których istnieją związki ogólnokrajowe. Pozostałe 22 kraje reprezentowane są przez grupy lokalne lub frakcje. Mimo to wszystkie te organizacje mają na zjazdach rady Międzynarodowej Unii Studenckiej pełne prawo przemawiania i głosowania.

Spośród 50 krajów, które reprezentowane są przez „obserwatorów", tylko w odniesieniu do 16 mówić można o reprezentacjach ogólnokrajowych; reszta ma również charakter jednostronny i ułamkowy. Pięć milionów członków, wymienianych w sprawozdaniach oficjalnych, pochodzi głównie ze Związku Sowieckiego i Chin. Liczba studentów chińskich podawana jest na trzy i pół miliona; muszą to być jednak — twierdzi raport — głównie dzieci, skoro obecna cyfra studentów wyższych zakładów naukowych nie przekracza w Chinach 200.000.

Sprawozdanie zajmuje się następnie „niekonstytucyjnymi praktykami", przy których pomocy obecni komunistyczni kierownicy Unii utrzymują się przy władzy.

PROWINCJA BEZ DOBREGO TEATRU

Mnożą się narzekania na brak dobrych przedstawień teatralnych na prowincji brytyjskiej. „Trudno mi z przekonaniem utrzymywać — mówił świeżo Alan Dent w audycji radiowej — że poza Londynem i Stratfordem sprawy teatru brytyjskiego przedstawiają się równie dobrze, jak przedstawiały się pięćdziesiąt, czterdzieści, trzydzieści lub choćby nawet dwadzieścia lat temu. W tych dawniejszych czasach oglądać można było najlepsze sztuki, grane przez najlepszych artystów londyńskich, w takich miastach jak Birmingham i Bristol, Manchester, Liverpool i Newcastle, Cardiff i Swansea, Glasgow, Edynburg i Aberdeen, nawet w Belfaście w Irlandii Północnej i w Dublinie w Eire. Po okresie wystawiania w Londynie następowało zwykle „tournée prowincjonalne" — przy czym jeśli nawet sztuki nie grał zespół londyński, to wykonanie jej powierzano pierwszorzędnemu zespołowi wędrownemu... Wielka szkoda, że zwyczaju tego zaniechano niemal zupełnie po ostatniej wojnie.

„Byłoby rzeczą naprawdę dobrą, gdyby sztuka, która miała wielkie powodzenie w Londynie, utrzymując się na scenie przez dwa lata i więcej, była w momencie największych swych tryumfów wycofywana ze sceny londyńskiej i puszczana okrężnie do wszystkich wyżej wymienionych miast. Zrobiłoby to dobrze aktorom, a lepiej jeszcze teatrowi poza Londynem, stawiając go znowu na nogi. Kiedy jednak namawiałem do tego dyrektorów teatrów londyńskich, spotkałem się z pobłażliwym uśmiechem, który wzbudzał we mnie uczucie, że jestem nieprawdopodobnym idealistą. Widoczne są względy ekonomiczne, przemawiające przeciw przywróceniu poprzedniego trybu postępowania.

„Zdaje się, że widzowie na prowincji wolą raczej przybywać do Londynu, niż pozwolić na tournée sztuk wystawianych w Londynie. W rezultacie, niezależnie od tego, jakie są prawdziwe tego wszystkiego przyczyny, teatry prowincjonalne nie dostają niczego, poza okazyjnym „wypróbowywaniem" przedstawienia londyńskiego, nim pojawi się ono w samym Londynie."

Toteż miasta prowincjonalne zadowalać się muszą wizytami czwartorzędnych zespołów, grających oklepane i jałowe wodewile i farsy. Tak np. w chwili obecnej w Leeds wystawiana jest „The Quaker Girl", a w Oksfordzie „The Belle of New York".

W STULECIE URODZIN OSKARA WILDE'A

Dnia 16 października rb. minęło sto lat od urodzin znakomitego pisarza i dramaturga Oskara Wilde'a. Rocznicy tej BBC poświęciło dwie audycje, nadto transmitowano sztukę Wilde'a „Mąż idealny" w opracowaniu radiowym Val Gielguda.

Rzecz osobliwa jednak, że nie pojawiła się żadna sztuka Wilde'a na deskach teatrów londyńskich.

STUDENCI W CAMBRIDGE ZA TORYSAMI

Tak zwana Cambridge Union, będąca podobnie jak Oxford Union czymś w rodzaju parlamentu studenckiego, zebrała się ostatnio, by debatować nad wnioskiem, stwierdzającym, że „Rząd Jej Królewskiej Mości przestał zasługiwać na zaufanie tej Izby". Na zebranie przybyło blisko 800 studentów. Stanowisko socjalistyczne przedstawił b. kanclerz skarbu Hugh Gaitskell, pozycji rządu bronił minister paliwa Geoffrey Lloyd.

W dyskusji na plan pierwszy wybijały się sprawy polityki zagranicznej; sprawami wewnętrznymi interesowano się znacznie mniej. Na krótko przed północą odbyło się głosowanie. Wniosek, wyrażający rządowi brak zaufania, odrzucony został 500 głosami przeciw 273. Okazało się raz jeszcze, że uniwersytet w Cambridge jest nadal jedną z twierdz konserwatyzmu. Podobne wyniki dawały obrady Cambridge Union także w okresie, gdy u steru stał rząd Partii Pracy.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1 0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kułakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz **Rev. W. Słapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6; **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr. 4, Bar. 16 B/2 (13B) München 54 oraz **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"**, 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz **„Pomoc" — Eksport Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C, Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PADdington 9734